Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. **30** groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VII. *Niedziela, dnia 9 kwietnia 1939 r.* Nr. 15



HEJ! LUDZIE!...

Otwórzcie drzwi chaty na oścież,
wychodźcie na przyzby i drogi...
Niech uśmiech rozjaśni blade twarze!
Wiosna...

...idzie do was dziś w goście,
poprzez pól sennych rozłogi,
kładąc w szyby stubarwne —
słoneczne witraże.

Apolinary Żurawski.

ADAM CZEKALSKI 5)

Narzeczona z Szanghaju

POWIEŚĆ

Teraz, kiedy już znajdowali się daleko poza domkiem samotnym nad Jang-Tse-Kiang, daleko od zwłok samobójcy, znowu inne myśli płynęły mu do głowy i zmieniły jego punkt patrzenia na całą tę sprawę i na Danielę. Zaczynał zwolna wątpić, czy to ona była rzeczywiście tutaj. Tyle kobiet w Szanghaju podobnych jest do siebie, że nie byłoby wcale nic dziwnego w tym, gdyby zarówno on sam, jak i służący zmarłego kapitana wzięli kogoś innego za Danielę.

— To był szpieg, master — odezwał się znowu w zamyśleniu Li-Liang.

— Yes, chodia. Ale czy to on jeden? Szanghaj aż się roi od szpiegów wszystkich zainteresowanych konfliktem japońsko-chińskim państw.

— Prawda jest. Ale słuchaj pan, co ja powiem: Chiny mogą nawet przegrać tę wojnę, która nie została do dziś dnia wypowiedziana. Ale czy ją przegrają lub wygrają — zakończenie tej wojny będzie również końcem przywilejów państw europejskich na naszym terenie. Jest nie do pomyślenia, aby stan taki, jaki jest obecnie, mógł trwać dłużej. Europa nie imponuje już dzisiaj Azjatom. Resztki jej prestiżu tutaj topnieją w ogniu walk z najeźdźcą japońskim. To Europejczyków biją w Szanghaju i na całym froncie. Ja jestem Chińczykiem i życzę sobie przede wszystkim zwycięstwa, ale należy oddać sprawiedliwość Japonii, że ona to zadaje cios śmiertelny wpływom i znaczeniu Europy na Wschodzie. Młody imperializm japoński, któryześrodkowuje niejako bunt ras kolorowych przeciw przewadze białych, wykazuje prężność i siłę ekspansji nie byle jaką. Powoli i systematycznie opanowała Japonia rynki kolonialne i półkolonialne: Indie brytyjskie i holenderskie, Filipiny, Egipt, Afrykę południową i wschodnią, jednocześnie zaś rozszerzyła zasięg swych wpływów na Mandżurię i częściowo Mongolię. A Europa udaje ślepą i nie chce tego widzieć. Nie chce widzieć, że każde choćby najdrobniejsze zwycięstwo Japonii, to jeden więcej gwóźdź do trumny wpływów europejskich na Wschodzie. I dlatego Europa musi stracić wszelkie wpływy i wszelkie znaczenie wśród ludów kolorowych.

— Nasz rząd — ciągnął po krótkiej przerwie Li-Liang — wniósł ostatnio protest przeciwko Japonii do Ligi Narodów. Ale protest ten ma znaczenie tylko demonstracyjne, bo w całych Chinach nie ma takiego naiwnego Chińczyka, który by uwierzył w jakikolwiek skutek wystąpienia tej organizacji europejskiej. Przecież Japonia raz już została potępiona przed pięciu laty przez tę samą Ligę Narodów, a jakiż rezultat? Oto potępiony napastnik wystąpił z Ligi, ale mandaty nad terenami mandatowymi, dane mu przez tę samą Ligę Narodów zatrzymał, i drwi w żywe oczy o całej Lidze i wszystkich białych. Dlatego musi przyjść kres panowania białych nad ludami kolorowymi. Europa boi się wojny i na ołtarzu pokoju gotowa złożyć najwyższe ofiary, a Japonia rozumie to i robi ,co jej się żywnie podoba.

Thompson słuchał uważnie tych uwag zdrowych i rzeczowych Chińczyka, gdyż uderzały one prawdą w nich zawartą i zgodne były z logiką i faktami. A że



Maleńka Krysia zastała zajączki wielkanocne przy gorączkowej pracy

na Wschodzie bawił od dłuższego już czasu i, jako dziennikarz, trzymał od lat rękę na pulsie wydarzeń i polityki wschodniej, musiał się zgodzić z Li-Liangiem i przyznać mu całkowitą słuszność.

VII.

PANIKA W SZANGHAJU

Początkowe oczekiwania Japończyków, że nagłym uderzeniem złamią opór wojsk chińskich i zajmą Szanghaj, okazały się płonne. Tylekrotnie ośmieszany żołnierz chiński okazał się dzielnym wojownikiem, który, nawet pozbawiony wszystkich zdobyczy nowoczesnej techniki wojennej umiał stawić czoło zastępom mikada. Zamierzony atak japoński przekształcił się więc w regularną wojnę pozycyjną, której koszty płaciła nieszczęsna ludność Szanghaju.

Dzień i noc słychać było od pewnego czasu w Szanghaju huk wybuchających pocisków armatnich i bomb lotniczych, słychać nieustanny jazgot karabinów maszynowych.

Liczba ofiar była ogromna, chociaż dokładnie nigdy nie stwierdzona. O rozmiarach ofiar, jakie składała na krwawym ołtarzu wojny ludność Szanghaju, świadczyły takie fakty, jak: 2000 ofiar od wybuchu trzech bomb lotniczych, nie licząc tysięcy rannych, których dalszy los był nieznany.

Szpitale były przepełnione, przy czym warto nadmienić, że dowództwo chińskie rannych żołnierzy wysyłało w większości poza Szanghaj.

Nieznana była bliżej liczba ofiar, jakie zginęły wskutek ogromnego pożaru, w którym spłonęły całe dzielnice w Czapei i Putung. Większość domów w tych dzielnicach chińskich była drewniana, paliły się więc jak zapałki .A że każda taka budowa drewniana, zwana domem, zamieszkała była przez rojowisko rodzin chińskich, nie dziw, że przypuszczalna liczba ofiar pożaru musiała być ogromna.

Jednym wielkim rumowiskiem stały się szczególnie okolice dworca północnego, bombardowane bezlitośnie i bezustannie przez artylerię okrętową i lotnictwo japońskie. W tych okolicach bowiem skupił



Figlarny zajączek przymrużył jedno oczko i śmieje się do Was — Czytelnicy!



Na chwilę przed przyjęciem zajączka wielkanocnego trzeba się jeszcze dobrze umyć

się głównie opór wojsk chińskich, aby nie dopuścić do połączenia się wojsk japońskich na dwóch odcinkach w Szanghaju i pod Wusung.

Zacięte walki toczyły się także w Putung, dzielnicy położonej na południe od koncesji francuskiej, gdzie bohatersko walczyła słynna „żelazna“ dywizja chińska, która już przed pięciu laty dała się we znaki Japończykom.

Artyleria tej dywizji ostrzeliwała szczególnie flotę japońską, zgromadzoną na rzece w okolicach konsulatu japońskiego.

Do wszystkich nieszczęść, jakie spadły na godną litości ludność Szanghaju, dołączyła się w końcu cholera.

Na tle licznych rozkładających się zwłok i nieładu urągającego wszelkim nowoczesnym warunkom higienicznym w dzielnicach chińskich szerzył się bakcyl groźnej cholery azjatyckiej, która towarzyszy każdej wojnie na Dalekim Wschodzie.

Rozwojowi cholery sprzyjały również trwające wciąż upały, wynoszące przeciętnie 35 stopni.

Ludność biała znajdowała się w tych warunkach w ciężkim położeniu. Radziła sobie jak mogła, odgradzając się w koncesjach cudzoziemskich od terenu walk. Dokładnej rewizji poddawano wszystkich chińskich uchodźców, którzy znaleźli się na terenie koncesyj cudzoziemskich.

Ale nawet na terenie koncesyj nie było pewności uchronienia się przed śmiercią. Zabłąkane kule i odłamki pocisków padały również na tereny zamieszkałe przez białych. Jak zaś dowodziła straszna masakra, której ofiarą padły od bomby japońskiej w angielskim domu towarowym setki osób, nawet betonowe gmachy nie dawały całkowitego bezpieczeństwa.

Jaki miał być dalszy los Szanghaju? Nikt nie mógł odpowiedzieć z pewnością na to pytanie. Los Szanghaju w tym okresie uzależniony był od walk pod Wusung i Paochan. Jeśli tam wojskom japońskim nie uda się przełamać oporu chińskiego, walki mogą potrwać jeszcze bardzo długo...

Thompson skończył tej mniej więcej treści artykuł i postanowił udać się do telegrafu, aby go nadać do redakcji. W mieście dnia tego panował wyjątkowy spokój. Samoloty japońskie, po nalocie przed paru dniami, kiedy to straciły sześć bombowców z eskadr swoich, jakoś się nie pokazywały. Czasem tylko gdzieś od strony Wusung dochodziły zgłuszone huki ciężkich dział, ale huki te tak już były dla uszu mieszkańców Szanghaju zwyczajne, że nikt nie zwracał na nie prawie najmniejszej uwagi.

Jadąc rikszą do telegrafu, Fryderyk rozglądał się uważnie dokoła, wciąż mając nadzieję, że może spotka gdzie tajemniczą Danielę. Teraz podejrzewał ją już śmiało o uprawianie jakiegoś tajemniczego procederu, który mógł się nazywać szpiegostwem, ale nie obciążał jej bezpośrednio mordem. To stwierdzenie było mu wielką ulgą, gdyż jego miłość do niej zaczynała się przeradzać w jakieś chorobliwe majaczenia, w których bardzo często widywał pannę Berthier w wyobraźni, rozpoznawał ją w każdej prawie po drodze spotkanej Europejce, ale kiedy podchodził bliżej, zawsze się przekonywał o swoim błędzie.

Od chwili wylądowania w porcie Artura, Daniela zniknęła z powierzchni ziemi, jak zjawa. Nie słyszał o niej, nie widywał jej, a mimo to tęsknił coraz bardziej za jej widokiem. Czy była to miłość? Fryderyk był przekonany już teraz, że tylko miłość wielka i głęboka zdolna jest wprawić człowieka w ten przedziwny stan, który podobny był do snu, chociaż snem nie był.

Trzy dni względnego spokoju w tym olbrzymim zbiorowisku ludzkim wszelkich ras i narodów, jakim był Szanghaj, przywróciły znowu najbogatszemu portowi chińskiemu mniej więcej spokojny wygląd. Sklepy były pootwierane, w kawiarniach i barach rzępoliła znowu muzyczka, Europejczycy i kolorowi radzili nad stolikami i układali kombinacje handlowe — słowem, przygodnemu widzowi zdawać się mogło, że w życiu Szanghaju zaszła tylko bardzo drobna zmiana i że to życie nie jest dzisiaj takim, jakim bywało zawsze, ale trochę odmienionym.

Bez żadnej najmniejszej przygody dojechał Fryderyk do telegrafu, nadał artykuł i zeszedł na dół do kiosku, pragnąc nabyć parę gazet miejscowych. I w chwili, gdy już oddalał się od kiosku, wzrok jego spotkał się wzrokiem człowieka, który wydał mu się naraz znajomym. Fryderyk przystanął i przyjrzał się małemu Japończykowi, ale ten odwrócił się natychmiast i wolnym krokiem zaczął się oddalać w stronę koncesji japońskiej.

— Do kaduka, ja przecież już gdzieś widziałem tego człowieka! — zastanowił się i przystanął na moment.

Potem popatrzył za oddalającym się człowiekiem i ruszył wolno jego śladem.

Japończycy, tak samo jak Chińczycy, w oczach Europejczyka czy w ogóle białego, tak są do siebie podobni, że trudno ich rozpoznać. Znając jednego z nich lepiej, może się zdawać, że tego znajomka spotyka się na każdym kroku, w osobie każdego przygodnie spotkanego żółtego. Lecz

Po otrzymaniu takiej ilości pięknych jaj wielkanocnych napełnionych słodyczami, nie potrzeba zmuszać się do uśmiechu zadowolenia





Obchodzono ostatnio 50-rocznicę rozpoczęcia działalności charytatywnej zakonu brata Alberta (Adama Chmielowskiego). Bracia tego zakonu, celem umartwiania się, posiłek swój spożywają klęcząc

Thompson, mieszkający w Chinach już od dłuższego czasu, nauczył się odróżniać Chińczyków od Japończyków i poznawać swoich żółtych znajomych po rozmaitych cechach zewnętrznych, które na pierwszy rzut oka trudne są do rozeznania dla nieświadomego. Dlatego w tym wypadku był przekonany, że jednak tego człowieka, którego oczy patrzyły na niego przez wąskie szpareczki chwilę, zna niewątpliwie. Dlatego ruszył w jego trop i deptał mu niemal po piętach, ale tak umiejętnie, że Japończyk prawie tego nie spostrzegł. Po drodze zaś Fryderyk próbował przypomnieć sobie, gdzie on już tego człowieka widział, gdzie go poznał. I wreszcie olśniła go radosna myśl:

— Ależ to jest ów maleńki kapitan z ekspresu mandżurskiego, który tak ciekawie wypytywał mnie o Danielę! — prawie zawołał do siebie i teraz już zaczął uważniej deptać po piętach Japończykowi.

Ten człowiek nie bawił tu bez przyczyny. Tego Thompson był pewnym.

Tak doszli do pierwszych zabudowań już na terytorium koncesji japońskiej, gdy nagle rozległ się donośny bzyk stalowych komarów gdzieś wysoko pod niebem, jednocześnie zagrały działa z japońskich pancerników na rzece, odpowiedziały im natychmiast działa chińskie i oto miasto, które zaledwie przed chwilą stanowiło wzór spokoju ,stało się terenem straszliwej kanonady i obrazem grozy wojennej.

Zanim Thompson miał czas zorientować się w sytuacji, już w powietrzu ukazały się dwie eskadry samolotów bombowych i drewniane uderzenia zrzuconych bomb wypełniły powietrze hukiem i detonacjami. Wraz też rozległy się gdzieś w śródmieściu przeraźliwe wycia syren alarmowych, w innym miejscu wybuchnął pożar i kłębiąc się i przewalając, jak potwór jaki straszliwy, wzbił się dymami tak wysoko, że w nim zniknęły prawie, zasłonięte, eskadry japońskie.

Fryderyk zapomniał o spotkanym tak niespodziewanie małym kapitanie z ekspresu mandżurskiego. Przytulił się do jakiejś ściany ogromnego gmachu i obserwował z daleka bitwę, nie czując najmniejszego strachu lub lęku.

Potem, kiedy na podniebnym szlaku ukazały się znowu eskadry chińskie i zagrały w powietrzu karabiny maszynowe, a kule z sykiem i mlaskaniem zaczęły siać zniszczenie na ulicach, oderwał się natychmiast od swojej ściany i pomknął co sił w stronę koncesji francuskiej, gdzie już waliły olbrzymie tłumy chińskie w najwyższym przerażeniu.

Teraz już słychać było jeden pociągły i straszliwy huk dział, grzechot karabinów maszynowych, drewniane uderzenia bomb lotniczych, świst pocisków, wrzawę przerażonych ludzi i szum olbrzymiego pożaru, który przesłonił niebo.

Thompson dopadł głównej drogi, prowadzącej do koncesji francuskiej, ale od razu zrozumiał, że przedostanie się na teren tej koncesji razem z tym olbrzymim i przerażonym tłumem żółtych jest niepodobieństwem. Kordon poczwórny żołnierzy francuskich z najeżonymi bagnetami zatarasował drogę i nie wpuszczał nikogo. W obawie bowiem zawleczenia cholery, władze koncesji wydały rozkaz niewpuszczania nikogo na teren koncesji bez zbadania lekarskiego i odbycia koniecznej kwarantanny.

A tłum chiński, stłoczony, przerażony i ogarnięty paniką, wył, przewalał się, płakał, wyklinał i żebrał litości, gdyż warkot w powietrzu to raz się zbliżał, to znowu oddalał, a zawsze był i groźny i niebezpieczny.

I obawa tego tłumu była całkowicie usprawiedliwiona, bo oto dwa bombowce japońskie, zniżywszy się szybkim, ślizgowym lotem nad kamienice miasta, sypnęły gradem kul do tych bezbronnych, spokojnych na ogół i bezgranicznie przerażonych tłumów. Rozległy się jęki i błagania, a potem gruchnęło straszliwe wycie, nacechowane zemstą i mściwością.

Teraz dopiero, widząc się samym zagrożonymi przez samoloty mikada, żołnierze francuscy otworzyli przejście i wpuścili ogromną falę ludzką na wielki plac, a francuskie działa przeciwlotnicze oddały kilka strzałów do przelatujących nad koncesją samolotów japońskich, raczej na postrach czy dla ostrzeżenia, niż z zamiarem wyrządzania im szkody.

Fryderyk w pierwszej chwili został wtłoczony w masę ludzką i porwany przez tę groźną falę, ale po półgodzinnych zmaganiach udało mu się wyrwać z kleszczy tego wieloczłonowego olbrzyma i wydostać na teren nieco swobodniejszy. Lecz i tu nie widział żadnej rady, gdyż nie było się gdzie schronić. Zaczynał już żałować, że uciekł z koncesji japońskiej, gdy naraz tuż obok niego przemknął samochód zamknięty, który go potrącił i rzucił w kurz uliczny. W pierwszej chwili Fryderyk poczuł szum w głowie i przedziwne jakieś koła przesuwać mu się zaczęły przed oczyma, a zanim zdał sobie sprawę z wypadku, już czyjeś silne ręce poderwały go z ziemi, uniosły i po chwili auto pomknęło dalej.

Co się potem działo? Fryderyk na pół był ogłuszony, słyszał tylko jakby przez mgłę przeraźliwe wycia setek i tysięcy ludzi bezbronnych i oszalałych rozpaczą, straszliwe detonacje wybuchających bomb, grzechot karabinów maszynowych, pod których wpływem uniósł się nieco i otworzył oczy. Zobaczył nad sobą parę błyszczących, orzechowych oczu i twarz białą, niby twarz tego anioła, którego on sobie wyczarował w długich marzeniach.

— Danielo!...

— Pst! Cicho... — położyła kobieta palec na wargach.

W tem ogłuszający huk bomby wstrząsnął samochodem, który podskoczył na miejscu, jak szarak postrzelony na roli, i potem padł z powrotem na drogę, nieruchomiejąc.



Szwedzka następczyni tronu zwiedziła odbywającą się w Sztokholmie wystawę modeli statków morskich

— Madame, nasz wóz est morte — rzekł po francusku szofer. — Uciekajmy!

— Gdzie się znajdujemy?

— W pobliżu koncesji rosyjskiej czy też angielskiej.

— A zatem gdzieś niedaleko tu mieści się schron przeciwlotniczy. Biegnijmy tam, ile sił w piersiach.

Wydostali się z potrzaskanego wozu i schronili pod ścianę najbliższego budynku. Thompson miał ochotę porwać w tej chwili Danielę w ramiona, takim niezwykłym sposobem odnalezioną w tym rojowisku ludzkim, chciał ją zapytać o wiele, wiele rzeczy, ale nie było czasu nawet na wymienienie paru słów, gdyż nagle zjawił się jakiś nowy tłum chiński, który ogarnął ich i pociągnął za sobą.

— Musimy oprzeć się temu tłumowi! — rzekł szybko Fryderyk. — Inaczej Bóg raczy wiedzieć, gdzie on nas może pociągnąć.

Lecz nie takie to łatwe było, jak się wydawać mogło. Tłum chiński jakby umyślnie otaczał zwartym pierścieniem Danielę i Thompsona i parł przed siebie w stronę koncesji japońskiej. Pierwsza zorientowała się w manewrze tłumu panna Berthier. Chwyciła mocno za rękę Fryderyka i krzyknęła mu do ucha:

— Fred... oprzyjmy się temu tłumowi... oprzyjmy się za wszelką cenę!

W głosie jej brzmiał lekki przestrach, który nie uszedł uwagi Thompsona, chociaż ten po ostatnim wypadku samochodowym nie czuł się jeszcze zupełnie dobrze i umysł miał nieco wstrząśnięty. Podniósł na nią oczy i spojrzał w jej orzechowe źrenice. Zrozumiał myśl i natychmiast odwrócił się twarzą do napierającego tłumu, mierząc z rewolweru.

— Stać, do miliona smoków chińskich, albo wam łby porozbijam! — wrzasnął tak, aby go najdalsi słyszeli.

— Stój, bydło chińskie! — poparł go szofer Danieli, również dobywając broni i opierając się z całych sił na nogach.

Ale tłum zdawał się być niemy i głuchy na wszelkie słowa. Nie odpowiedział na to wezwanie nic, tylko naparł jeszcze silniej, a gdy Thompson kropnął jednego z silnych i krępo zbudowanych Chińczyków kolbą rewolweru w łeb, drugi Chińczyk zadał mu tak potężny knock-out w podbródek, że dziennikarz na miejscu osunął się na ziemię i nie wiedział już nic, co się z nim działo dalej.

IX.

ZMARTWIENIE MORTONA

Harakiri japońskiego kapitana w samotnym domku nad Jang-Tse-Kiangiem stało się wiadomym w światku dziennikarzy zagranicznych w Szanghaju daleko prędzej, niż Thompson mógł się tego spodziewać. Gubernatorowi francuskiemu jednak, jak się wydawało, bardzo zależało na tym, aby wiadomość ta nie przedostała się do dzienników europejskich, gdyż każdy z poszczególnych korespondentów został we właściwy sposób i bardzo dyskretnie uprzedzony, aby wiadomość tę puścił mimo uszu i nie robił z niej sensacji.

Morton, który pozostawał w nader bliskich stosunkach z gubernatorem, zgodnie z życzeniem, nie podał tej wiadomości swojej redakcji, ale niemniej był ogromnie ciekaw, co się za tym kryje. Toteż przez parę dni myszkował, węszył, szukał, lecz gdy w końcu zrobił bilans swoich dociekań, stwierdził, że nie posunął się w odkryciu prawdy ani o milimetr naprzód. Morton był szczerze z tego powodu zmartwiony, ale nie tracił mimo to nadziei, że może uda mu się w końcu dojść do sedna rzeczy. Szukał więc dalej wytrwale i w końcu wpadł, jak mu się zdawało, na pewien ślad. Odszukał służącego zmarłego kapitana z samotnego domku nad rzeką i próbował od niego dowiedzieć się czego-



Mała Łowiczanka

W barwnym pasiaku Łowiczanki
Wacia jest wdzięczna jak stokrotka,
W oczekiwaniu niespodzianki
Cichutko stoi koło płotka.

Wyszła naprzeciw Pani Wiośnie
Sama słoneczna jak wiosenka;
Jej oczka śmieją się radośnie
I szczęściem dzwoni jej piosenka:

„Rosnę ja sobie jak pszeniczka
Na polskiej ziemi w słońca blasku,
Rumieniec zdrowia krasi liczka
Czy mnie poznacie na obrazku?

Matuś mi mówi: córuś miła —
I tak mi szepcą polskie łany,
Od których płynie moc i siła
Na cały polski kraj kochany."

A ziemia budzi się do życia —
Rzuca dziewuszce kwiaty w dani..
I patrzą na nią wciąż z ukrycia
Oczy poczciwej, starej niani..

Zofja Borucka.

kolwiek. Ale mały Japończyk okazał się tym razem głuchym jak pień na wszelkie prośby dziennikarza. Jedyne, co mu zdradził, to okoliczność, że nazajutrz po dokonaniu samobójstwa przez kapitana, w samotnym domku nad rzeką zjawił się naczelnik policji Li-Liang-Czeng z białym człowiekiem i tym dwom wszystko, co wiedział, najdokładniej zdradził. Z opisu, zresztą dość chaotycznego i niedokładnego, Morton domyślił się od razu, że tym drugim białym człowiekiem nie mógł być nikt inny, tylko Thompson. I w następnej godzinie postanowił odszukać Thompsona.

Lecz dopiero od tej chwili zaczęły się dla małego Francuza prawdziwe niespodzianki. W hotelu powiedziano mu, że mister Thompson nie zjawiał się tu już od kilku dni.

— Mister Thompson ma już dwie depesze i parę listów, ale nie zjawia się wcale — poinformował go portier. — Jesteśmy bardzo o niego zaniepokojeni.

— A nie powiedział panu nic, gdzie się udaje? — pytał Morton, również mocno o kolegę zaniepokojony.

— Owszem, master Thompson powiedział, że jedzie nadać telegram na poczcie i gdyby w czasie jego nieobecności kto pytał o niego, to miałem powiedzieć, że pod wieczór wróci.

— Kiedy to było?

— Przed paru dniami, a dokładnie — w dniu wielkiego nalotu samolotów japońskich na Szanghaj.

— Może został ranny? — rzucił podejrzenie Morton. — Trzeba było zapytać w szpitalach, czy go tam nie ma.

— Ach, master, myśmy wciąż czekali na powrót mister Thompsona! Taki porządny chodia!

Morton wyszedł z hotelu pod wrażeniem, że Thompsonowi musiało przydarzyć się coś złego. To nie ulegało wątpliwości. Cóż tu więc począć? Potem przyszło mu na myśl, że Fred naprawdę mógł zostać ranny i teraz znajduje się pewnie w którymś ze szpitali. Pojechał więc do siebie z zamiarem obtelefonowania wszystkich miejsc, gdzie mógł przypuścić pobyt Fryderyka. René od dłuższego już czasu mieszkał w dzielnicy europejskiej, dosłownie zaś w koncesji francuskiej, uważając ją za bezpieczniejszą, niż najokazalsze hotele w innych dzielnicach. Przynajmniej mniej były narażone na bombardowanie dział japońskich.

Znalazłszy się w swoim pokoju, otworzył książkę telefoniczną, wyszukał wszystkie potrzebne mu numery i przez dwie bite godziny szukał Freda po całym Szanghaju. Niestety, nikt nie umiał go uświadomić w tej sprawie. Thompson zniknął, jakby się pod ziemię zapadł, albo też, jakby został porwany na najdrobniejsze szczątki przez bombę japońską.

Kiedy po dwóch godzinach wstał od telefonu, miał już prawie pewność, że o ile Fred nie został zabity, to na pewno przydarzyło mu się jakieś nieszczęście. Z tym przekonaniem pojechał do gubernatora francuskiego.

René i Fred, do czasu pojawienia się na widowni Danieli, żyli w najlepszej przyjaźni i nawet okazywali sobie nieraz wzajemną pomoc przy wykonywaniu swoich dość ciężkich na tym terenie obowiązków, co jest na ogół rzadkością wśród dziennikarzy, gdyż każdy z nich pragnie posiadane wiadomości pierwszy przesłać do swojej redakcji. A chociaż ostatnimi czasy wadzili się z sobą na wesoło z powodu Danieli, to jednak ta przyjaźń nie zmieniła się między nimi wcale. I to były właściwe przyczyny, że Morton zaniepokoił się bardzo poważnie zniknięciem przyjaciela i postanowił za wszelką cenę dojść do sedna rzeczy. Harakiri kapitana w samotnym domku nad rzeką usunęło się już w jego umyśle w cień wobec tej tak niezwykle ważnej dla niego sprawy.

Szanghaj, ten najbogatszy i największy port chiński, był dżunglą, gdzie o utratę



życia było łatwiej, niż o miseczkę ryżu. Dlatego obawy Renégo były ze wszechmiar usprawiedliwione.

W gubernatorstwie znali go wszyscy, od najniższego w hierarii urzędniczej woźnego, aż do samego pana gubernatora, toteż, skoro się tylko zjawił, powitano go tam z radością i zarzucono pytaniami o wiadomości i nowiny.

— Nihil novum sub sole — odrzekł z uśmiechem Morton. — Panowie daleko lepiej wiecie o wszystkim i daleko lepiej jesteście poinformowani, co się dzieje w Szanghaju, ode mnie, który muszę łowić wiadomości z drugiej ręki.

— My?! — zawołano zewsząd. — My tyle wiemy, co prasa podaje.

— Mówcie do lampy, przyjaciele, bo żaden żywy człowiek w słowa wasze nie uwierzy. A sprawa kapitana japońskiego z samotnego domku nad rzeką także wam obca?

— Zaręczamy, redaktorze, że nic zgoła o niej bliższego nie wiemy.

— Wszystko jest możliwe na tym najpiękniejszym ze światów — wzruszył ramionami René — ale tymczasem, panie Somain — zwrócił się do jednego z urzędników — racz mnie zameldować panu gubernatorowi, albowiem mam mu parę słów do powiedzenia.

— Czy co nowego?

— Moje wiadomości są przeznaczone tylko dla pana gubernatora.

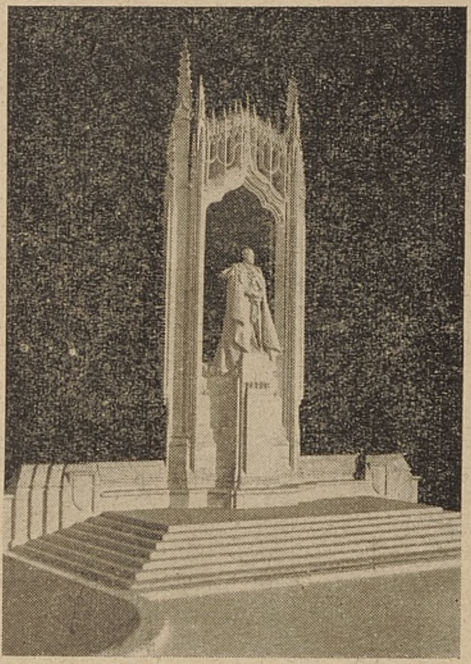
— Bien, już pędzę.

Po chwili René siedział naprzeciw gubernatora i opowiadał w drobiazgach te wszystkie szczegóły i domysły, jakie mu się nasunęły ze zniknięciem Thompsona.

— Jest to wprawdzie Anglik, gubernatorze — mówił René — obywatel wielkobrytyjski, ale że ja jestem obywatelem republiki francuskiej, a Thompson jest moim przyjacielem, tedy uważam sobie za obowiązek przybyć do pana i jemu pierwszemu rzecz tę opowiedzieć.

— Zupełnie słusznie, zupełnie słusznie, monsieur Morton — zgodził się gubernator. — Zatem domysły pana idą w tym kierunku, że mister Thompson, z powodu swojej znajomości z panną Berthier, naraził się na nieprzyjemności ze strony Japończyków?

— Tak podejrzewam, panie gubernatorze. Ta panna Berthier, istna oślica Ballaama, od samego początku, gdy mi tylko o niej Thompson opowiedział, wydawała mi się osóbką mocno podejrzaną. Jeśli to nie szpiegówka, za co nie dałbym jednego włosa z mojej głowy, to w każdym razie pierwszej wody awanturnica.



W Londynie powstanie olbrzymi pomnik ku czci zmarłego króla Jerzego V

Gubernator spojrzał w tym momencie bardzo surowo na Mortona, po czym powiedział głosem bardzo poważnym:

— Panie Morton, ja pannę Berthier znam dobrze, proszę o tym nie zapominać. I na uspokojenie pana mogę to powiedzieć, że jest to osoba bardzo solidna i w żadnym wypadku nie mogła ona pańskiego przyjaciela wciągnąć w zasadzkę. Sądzę, że pan może zaufać mojemu słowu.

— W słowo pana, gubernatorze, nie wątpiłem nigdy — zapewnił René. — Lecz skoro ta pani nie jest ani szpiegiem ani awanturnicą, to czemuż nie pokazała się Thompsonowi jawnie i publicznie? Przecież wiedziała o tym, bo sam jej wyznał, że kocha ją. Poza tym Fred widział pannę Berthier na własne oczy w towarzystwie japońskiego kapitana z samotnego domku nad Jang-Tse-Kiangiem. Cóż ona tam robiła? Czy porządna kobieta tak właśnie postępuje?

Morton spojrzał z zaciekawieniem na gubernatora, jakby pragnął z jego twarzy wyczytać odpowiedź na swoje wątpliwości, ale gubernator siedział spokojnie w tej samej pozycji i zabawiał się nożykiem do rozcinania papieru, nic nie mówiąc.

— W końcu, o ile dobrze mi wiadomo — powiedział znowu René — panna Berthier zabrała kapitanowi jakieś papiery. Jakież to mogły być papiery? Jeżeli nie jest szpiegiem ani awanturnicą, to czym jest w rzeczy samej?

Gubernator poruszył się nerwowo na swoim miejscu i rzucił prawie z gniewem nożyk na biurko.

(Ciąg dalszy w następnym numerze)

MARIA HEMPEL-GIERDAWA 5)

Leśny człowiek

— No, Bogu dzięki, Bogu Najwyższemu dzięki... — szepnął, widząc że ukochany jego „pan inżynier" otwiera oczy. — Już myślałem, że nie odratujemy... Ależ ta cholera urządziła „pana inżyniera"... Nie do wiary, nie do wiary... Łaska Boska, że ją „pan inżynier" rozciągnął zanim zemdlał...

— Co jest z nogą? — zapytał młody człowiek.

— Źle, „panie inżynierze". Ciało porwane, ale to byłoby nic. Kość złamana — to gorzej. Musiała zdrowo kłami rąbnąć, cholera.

— Dziś muszę być w domu, czy Wyczółkowski to rozumie? Dziś jest środa! — z rozpaczą zawołał młody człowiek.

— No to konie sprowadzą i pojedziemy. I tak tu zostać nie można. Trzeba doktora, szpitala... Sami nie poradzimy, i nie daj Boże będzie jakie nieszczęście.

— Która godzina? — pytał gorączkowo chory.

— Już południe.

— Ileż czasu byłem zemdlony?!

— Ano, coś ze dwie godziny... Sam już nie wiedziałem co robić, jak cucić... Tylko co rusz słuchałem czy serce bije... i Boga o ratunek prosiłem...

— Jak zrobić, żebym dzisiaj zdążył do domu?

— Staruchę zaraz pchnę do leśnictwa, to na wieczór konie będą...

Młody człowiek wybełkotał jakieś przekleństwo i zgrzytnął zębami, aż Wyczółkowskiemu ręce zadrżały.

— Tak boli?... — zapytał z przejęciem.

— Diabli nadali tę maciorę z warchlakami! — wrzasnął młody z najwyższą pasją, a oczy z gniewu mało mu z orbit nie wypadły.

— „Panie inżynierze", „panie inżynierze"... niechże się pan nie rzuca, bo krew nazad ciurkiem poleci i jeszcze „pan inżynier" mi tu zemrze... Nie dziś, to jutro dojedziemy do doktora, a Bóg da nie będzie zapóźno. Teraz noga opatrzona jak się patrzy, umiem to przecież...

— Nie o nogę do ciężkiej cholery mi idzie, ale że dzisiaj, dzisiaj muszę być w domu! Dzisiaj, nie jutro, choćby nogę mieli diabli wziąć! Na piechotę się powlekę!

To mówiąc zerwał się z posłania.

— Na rany Boskie! Zwariował „pan inżynier", czy co?! Leżeć mi spokojnie, bo na łańcuchu uwiążę! To nie przelewki! Tu o życie chodzi — wrzeszczał stary Wyczółkowski, pełen rozpaczy i przerażenia, wywołanego zachowaniem się młodego człowieka.

Ale ten, pomimo furii, tylko unieść zdołał się na posłaniu. Opadł na nie od razu bez siły i leżał dysząc ciężko. Noga widocznie urażona zabolała go silnie, bo syknął raz i drugi przez zaciśnięte zęby.

Wyczółkowski stał nad swym przyjacielem pochylony, zaniepokojony, w pogotowiu, aby każdej chwili zapobiec nowym szalonym wybrykom.

Ale ranny leżał teraz bez ruchu. Myśl tylko w jego głowie pracowała szybko, gorączkowo, rozpaczliwie.

„Co za pech, co za pech, co za pech! — powtarzał sobie w duchu — Ina, ukochana, jedyna, najdroższa moja dziewczyna przyjdzie, będzie czekać, będzie się rozglądać... Co sobie pomyśli... Może po raz pierwszy zachwieje się w niej wiara we mnie... Co za pech... co za straszne nieszczęście..."

— Wyczółkowski... — zaczął po chwili — niech Wyczółkowski pomyśli swoim zdrowym rozumem, bo mój dzisiaj do niczego, czy można jakoś tak zrobić, żebym dzisiaj dostał się do domu?

— Detyno moja kochana, toż wiadomo, że nie poradzi... taki szmat drogi, a tu dopiero konie sprowadzać trzeba i wóz jakiś... Jutro.

Młody człowiek rzucił się w pasji na łóżku i jednocześnie jęknął z bólu. Po chwili na bandażach, którymi owinięta była noga, pokazała się krew.

— No tak — rzucił z gniewem Wyczółkowski — krew już się znowu puściła! Jak tak będzie dalej, to i jutro jechać nie będzie można.... Toż spokoju trzeba i tołku w głowie! A „pan inżynier" jak głupie dziecko się zachowuje.

Nieszczęsny chory nic już nie odpowiedział, nie dosłyszał prawdopodobnie ostatnich słów starego Wyczółkowskiego, bo znowu popadł w zemdlenie.

Ocucony powtórnie, leżał spokojnie i cicho. Ściągnięte brwi, ponury wyraz oczu i zaciśnięte skrzywione usta wskazywały, że człowiek ten łamie w sobie coś, zmaga się z czymś, co jest dla niego gorsze i dotkliwsze niż ból złamanej i poszarpanej nogi.

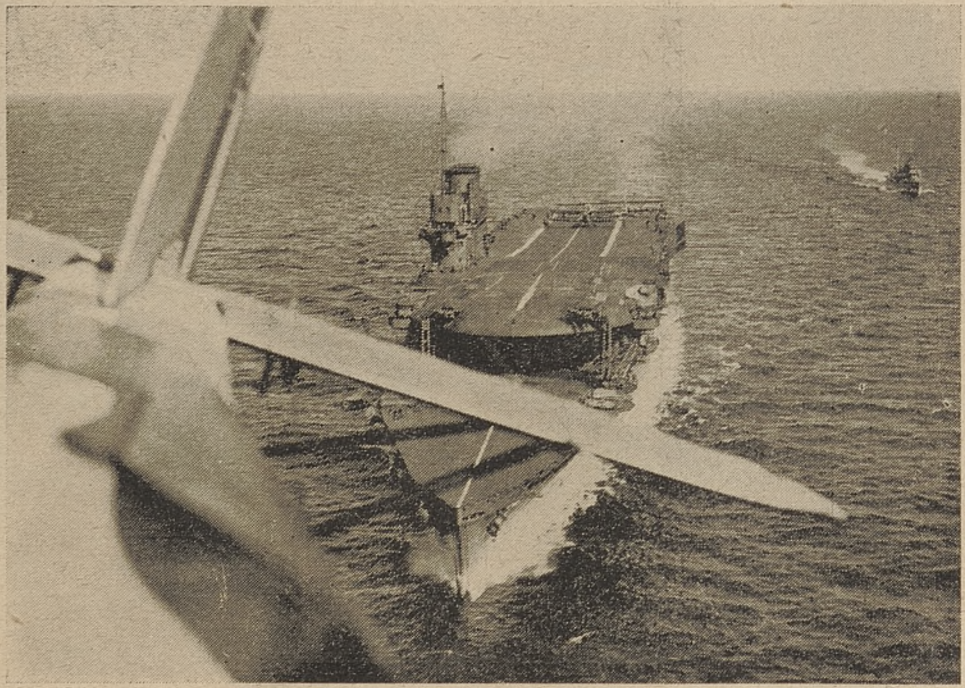
A potem przyszła gorączka. Oczy błyszczały, policzki rozpalone były, aż żar zdawał się do nich buchać.

Wyczółkowski posłał starą gospodynię do leśnictwa po konie, a sam nie odstępował ani na krok od chorego. Asan, rozumiejąc, że stało się coś złego, nie figlował i nie rzucał się po izbie, swoim zwyczajem, ale ułożył się cicho w nogach łóżka i wodził niespokojnym wzrokiem od Wyczółkowskiego do chorego i z powrotem.

Gajowy nie spodziewał się koni prędzej jak o północy. Postanowił jednak bez względu na ich zmęczenie, natychmiast jak tylko przyjadą, załadować chorego na wóz i zawieźć prosto do doktora. Gorączka przejmowała go lękiem i niepokojem. Wprawdzie obmył ranę i czysto opatrzył, ale Bóg wie, czy nie dostała się jaka gangrena. Rozdarte przez zwierza ciało zawsze nie łatwo się goi i często bywają komplikacje.

Chory tymczasem leżał bez ruchu i pozornie spokojnie. Od czasu do czasu spieczonymi ustami zapytywał o godzinę. W miarę jak się zbliżał wieczór robił to coraz częściej. Zabobonny Wyczółkowski drżał wewnętrznie ze strachu, bo pytanie o godzinę uważał za wskazówkę, że ostatnia chwila się zbliża. Podobno umierający, o ile mówić mogą, zawsze pytają się o godzinę...

U młodego człowieka nie było to jednak żadnym nadprzyrodzonym objawem oczekiwania śmierci. Cała jego myśl, pomimo bólu i gorączki, skoncentrowana była na jednym temacie: Ina. Widział w wyobraźni, jak w Krzywnie szykują do kolacji, jak wyglądają czy goście nie jadą... Widział



Efektowne zdjęcie z pokładu samolotu angielskiego lotniskowca „Glorious"



Naczelnik więzienia w Sztokholmie znalazł u jednego z więźniów aparat radiowy ukryty w książce

potem zajeżdżający powóz. Wysiada z niego pułkownik i ona, Ina. Jest podniecona, uśmiechnięta, szczęśliwa, oczekująca. Stary Jeleniecki wita się serdecznie, zaprasza do salonu... Ona rozgląda się ze zdziwieniem, rzuca niespokojnym spojrzeniem na wszystkie drzwi, które się tam znajdują, czekając i zgadując, przez które on wejdzie lada moment, lada chwila... Ale minuty mijają... rozmowę prowadzi roztargniona i zdenerwowana... Potem idą do stołowego pokoju... Nakryć tylko tyle, ile ich tam jest...

Chory jęczy.

Wyczółkowski myśli, że to z bólu, z gorączki... Podaje pić, chce jakoś ulżyć...

— O Boże, Boże... dlaczego tak musi być... — wyrwał się cichy, pełen rozpaczy szept ze spalonych, suchych warg nieszczęśliwego człowieka.

Wyczółkowski, któremu łzy z oczu płynąć zaczęły, ukląkł i zaczął się cicho modlić. Tracił już głowę. Nie wie co robić, jak radzić.

Chory nie pyta więcej o godzinę, ale Wyczółkowski sam teraz wciąż spogląda na zegarek i nasłuchuje, czy nie nadjeżdżają konie. Wygląda przez okno — boi się wyjść z pokoju chorego choćby na krótką chwilę.

A w lesie panuje tak niczym niezmącona cisza, że starego gajowego zaczyna to niepokoić. Zbyt dobrze zna on duszę puszczy, aby do takiej ciszy mieć zaufanie. Wie, że jest ona zwiastunem wyładowania się przyczajonych piekielnych sił żywiołu. A nie jest to wskazane ani dla chorego, ani — dla koni, które na pewno są już w drodze.

Minął jeszcze kwadrans martwej ciszy i raptem wierzchołki drzew zakołysały się gwałtownie, podały sobie nawzajem jakiś niespokojny, groźny szept. Tylko w dole, w gęstym podszyciu lasu, było jeszcze cicho.

Wyczółkowski odszedł od okna i zbliżył się do chorego. Ten leżał bez ruchu i jedynie ciężki, przyspieszony oddech wskazywał na to, że żyje.

— Silna burza idzie, panie inżynierze — zagadnął gajowy półgłosem.

Jakby na potwierdzenie tych słów rozległ się daleki grzmot, który długim ponurym echem przetoczył się do puszczy.

— Czy konie już są?... — zapytał chory, nie otwierając oczu.

— Tylko patrzeć, jak nadjadą — pocieszał gajowy, wiedział jednak, że w tej chwili muszą one być jeszcze od nich daleko.

Tymczasem w cichym dotychczas lesie, stawało się coraz głośniej. Wicher wzmagał się z minuty na minutę. Uderzał w zwartą masę drzew i wył jak rozszalały zwierz. Drzewa targane na wszystkie strony skrzypiały i jęczały przeciągle w rozpaczliwej walce o swoje istnienie. Od czasu do czasu słychać było suchy trzask łamanej gałęzi i zły pełen triumfu gwizd rozszalałej wichury. Dalekie grzmoty i pioruny stawały się coraz bliższymi. Raz wraz przecięte błyskawicą niebo zaglądało oślepiającym światłem do małej izby gajówki. Huk piorunów, stokrotnie powtarzanych przez echo, wstrząsał domkiem i dzwonił szybami.

Wyczółkowski żegnał się co chwila w zababonnym strachu, chory leżał też z otwartymi oczyma, w których malowało się cierpienie — nie wiadomo moralne czy fizyczne.

Raptem oślepiająca jasność wdarła się przez okno, straszliwy huk rozdarł powietrze i jednocześnie rozległ się suchy, rozpaczliwy, pełen bólu trzask rozprutego piorunem drzewa.

Potem nastąpi chwila zupełnej ciszy. Jak gdyby rozszalały żywioł przeraził się własnego opętańczego wybuchu.

— Czy piekło wszystkie czarty na ziemię wypuściło... — szepnął przerażony Wyczółkowski.

Ledwo skończył, powtórzył się błysk i huk i nowy jęk zabijanego drzewa.

Teraz pioruny zaczęły walić jeden po drugim niemal bez przerwy. Cały las zmienił się w istne piekło straszliwej walki życia z potęgą zniszczenia. Od nieustających błyskawic widno było jak w dzień, bijące pioruny wstrząsały ziemią, jak gdyby była w przedśmiertnych drgawkach, trzask rozpruwanych drzew, łamanych konarów, ryk i przeciągły gwizd wichru stwarzały wrażenie jakby rzeczywiście wszystkie moce piekielne wystąpiły w imię zniszczenia, zabicia wszystkiego co przed kilku godzinami jeszcze śpiewało Bogu przepiękny hymn radości życia i istnienia.

Stan taki trwał prawie godzinę. Po tym nagle lunął tak gwałtowny deszcz, jak gdyby raptem niebo się otworzyło i bluznęło na ziemię całe morze wody. W pierwszej chwili można było huk spadającej wody wziąć za nowy grzmot.

— Jak długo żyję, nie widziałem czegoś podobnego — zauważył Wyczółkowski. — Ale już wolę tę ulewę, niż te suche diabelskie pioruny. Tylko czekałem, kiedy w nas trzaśnie... Jak „pan inżynier" się czuje? Czy noga boli bardzo?...

Młody człowiek zamiast odpowiedzieć na to pytanie, rzekł:

— A koni nie ma... i pewno dzisiaj nie przyjdą...

— Jakby nawet przyszły, to jakże by teraz w nocy i w tę zlewę „pan inżynier" jechał. Trzeba już do jutra poczekać.. Ładnie będą wyglądać nasze leśne drogi po tej burzy i po tej zlewie! Sam czort się przez nie nie przebierze.

— Ale ja się przebiorę... — syknął przez zęby chory z zawziętą pasją.

Po tym nie przemówił już ani jednego słowa przez całą noc, choć nie spał ani przez chwilę Wyczółkowski siedział przy nim, jak wierny pies. Nie odstąpił go ani na moment. Nie był senny. Targał nim niepokój o zdrowie ukochanego „pana inżyniera", denerwował się nienadchodzącymi końmi. Wiedział, że na pewno musiało się z nim stać coś złego w tę przeklętą burzę. Wściekał się bezsilnie na pech, który szatańską jakąś mocą przeszkadzał w przyjściu z pomocą choremu.

Była już dziewiąta rano, kiedy w drzwiach gajówki ukazała się postać wymęczonej, upadającej ze znużenia gospodyni.

— Nareszcie jesteście, Marcinowo! — wykrzyknął z radością Wyczółkowski. — Ale cóżeście to na piechotę przyszli teraz?... A gdzie konie?

— O Matko Króla Nazareńskiego... — jęknęła starowina. — Już myślała ja, że przyjdzie się zamrzeć w tym boru... O Jezu, Jezu... co też to się działo?

— Ale konie! Co z końmi? — zawołał chory, wlepiając w gospodynię rozpalone gorączką oczy.

— Jeden zabity przez piorun, a drugi zerwał się i ssam czort go teraz nie znajdzie w lesie!

— Jakże to było?! Opowiadajcie, na Boga! — odezwał się Wyczółkowski, szarpiąc w zdenerwowaniu swoje duże rude wąsy.

(Ciąg dalszy na str. 293)



Orkiestra szkockiego pułku piechoty w Inverness wygląda bardzo oryginalnie w swych strojach narodowych

KRAINA SZCZEROŚCI I NASZYCH TROSK

ZMARTWYCHWSTANIE

Przychodzi do nas po adwencie wiosna,
Jezus na krzyżu przyjął nasze grzechy —
— Chrystus zmartwychwstał —
to prawda radosna
wykwita w duszy radosnym uśmiechem...

I Chrystus z nami zasiada u stołu
w promiennej glorii kładzie Swoje dłonie —
niebiańska radość zakwita wokoło
i ginie smutek w cierniowej koronie...

Maria de Schoenfeld Hayderowa

DOBRE RADY PANI ZOFII

JEŻELI WOLNO...

„To — ja". Słusznie, Droga Moja, to chochlik drukarski „sprokurował" z mgławicy — „mątawicz" — takie chochliki nie opuszczają nigdy drukarni i są jej wiernymi towarzyszami. Musisz pogodzić się z nimi, a nawet polubić je, podobnie, jak panowie typografiści i zecerzy. Wierszyki Twoje są moją pociechą i dumą, mam niesłychaną słabość do nich — dziękuję za wszystkie!

Bardzo się Tobą interesuję, Droga Moja. Napisz o sobie dużo i może przyślij swoją podobiznę, jeżeli wolno mi prosić. „Wróble na śniegu" były już w „Teczce", czy zauważyłaś? Życzę Ci przeradosnych Świąt.

Komunikaty. „Ira II" Jest Pani kochaną dziewczynką, której zasyłam serdeczne pozdrowienie!

„Złoty promyczek słońca". Lubię takie „złote promyczki"! Uśmiecham się do Ciebie, Kochanie, serdecznie!

„Wierzba na pustkowiu". Jeżeli tak — to proszę napisać do mnie. Odczuję los samotnego drzewka.

„Jadwiga Limba". Odwzajemniam pozdrowienie. Na wezwanie „S.O.S." wyciągam do Pani przyjazną dłoń.

„Te-Em". Dziękuję za uznanie mojej skromnej muzy".

CZEKAM!

„Tajemniczy Nieznajomy". Wszystkie Twoje prośby spełniłam. Na właściwy Twój adres stale jeszcze czekam, kiedyż go przyślesz? Pozdrawiam!

„Nieszczęśliwa Niniusia". Pragnąłbym z Tobą nawiązać korespondencję. A może teraz otrzymam liścik? Czekam i zasyłam wesoły uśmiech i słowa pocieszenia.

„Chochlik". Ślicznie wyglądasz na fotografii. Pozdrawiam.

„Kresowianka". Prawda, że to dziwne? Co u Ciebie nowego? — Czy nie otrzymałaś listu od p. Witkowskiego z New Yorku i czy p. Czajkowski jeszcze jest? Zasyłam moc.. uśmiechów.

„Marzenka z Ameryki". Mam w Ameryce przyjaciół. Proszę napisać coś o sobie, a napiszę im o Pani. Proszę przyjąć serdeczne pozdrowienia.

„Romeczka ze Lwowa". Znam Panią. Napisz, a dowiesz się, kim jestem i jak Cię znam. Całej „Krainie" przyjacielskie pozdrowienie i proszę nie zapominać o „Tajemniczym Nieznajomym"!

ZAPOMNIJ!

„Księżniczka Henrietta". Ja też pragnę poznać Cię, Dzieciaku Kochany, może nastąpi to kiedyś! Ciekawe miałaś perypetie w Zakopanem, a także później (wiesz o czym myślę). Co do tego ostatniego, to proszę Cię machnij rączką i zapomnij o tym. Było to nietaktowne, ale usprawiedliwieniem jest młodość pęd do wyszumienia się — należy patrzeć pobłażliwie na podobne wyskoki. Utemperowanie przyjdzie z wiekiem, poczucie taktu również. Pozdrowienia z Zakopanego otrzymałam naturalnie i jeszcze raz dziękuję! Pisz często. A teraz życzę smacznego święconego.

Komunikaty.

„Blanko". Serdeczne dzięki za pozdrowienia. Napisz do mnie, odpowiedź pewna. Ejże! „Wesoła Tusiu spod Grudziądza", jeśliś Łodzianką? Znamy się! „Błędnemu Ognikowi" jestem za coś ogromnie wdzięczna. Jeśliś ciekawy za co — napisz? Halo! Cała „Rodzinko" poznańska ze „Zbijobrukiem Poznańskim" na czele — jeśli chcecie poznać jedną zawalidrogę — zgłaszajcie się. Najdalej w maju będę w Waszym grodzie i rada bym Was poznać.

„Ejgo-Ejgo", jeśliś Łodzianinem — odezwij się. Żałuj „Bajko", że nie wybrałaś się do Zakopanego. Trzaska i Morskie Oko — to nie Roma w Łodzi. Na moje imieniny też nie mogłaś przyjechać. A że było zagranicznie — to mam świadka w „Zuch dziewczynie", którą całuję!



„Blanka" obdarza nas wiosennym uśmiechem

HOSANNA!

Hosanna! Przyszła wiosna!
Choć chłodem sine ranki —
Zakwitły już pierwiosnki,
śnieżyczki i sasanki.

Z ugorów spełzły śniegi,
Więc czernią się dymiące.
Z miedz żółty kwiat podbiału
Nieśmiało patrzy w słońce.

— — — — — — — — — — — — — —

W kościołów zimnych kryptach
Znużony Chrystus śni
O krwawej swojej męce
I zmartwychwstaniu śni.

Na stopniach wśród zieleni
Śpi Chrystus malowany.
Olejnych lampek światła
Rzucając cień rozdrgany.

— — — — — — — — — — — — — —

O przyjdź-że do nas Panie
Na ciche, szare pola —
Pod stopy ci upadnie
Zorana wiosną rola.

Skowronek Ci zadzwoni
Srebrną pod niebo glossę,
Zabłysną jak monstrancja —
Poranne krople rosy.

Kadzidłem w dal popłyną
przejrzyste mgły wiosenne,
A baldachimem będzie
Błękitne niebo senne.

I śpiewać będzie cisza,
I muszki w słońcu lśniące.
Dwa cudy Zmartwychwstania
W ten jasny dzień wieszczące

Hosanna! — przyszła wiosna
Hosanna! Zmartwychwstanie!
Za dwa te wieczne cudy
Hosanna Tobie Panie!

Mieczysława Piotrowska — Zborów

DZIĘKUJĘ!

„Przedwiośnie" i „Halszka". Dziękuję Wam za te kilka słów na pocztówce i przesyłam dobre życzenia świąteczne!

REKLAMOWANO

„Poznanianka". Zmieniłam trochę Pani pseudonim, opuszczając przymiotnik „stęskniona". W sprawie regularnego doręczania „Moich Powieści" przez pocztę zwróciła się nasza administracja z reklamacją do tamtejszego urzędu. Proszę mi donieść, czy nastąpiła poprawa. „Poznanianka" prosi o zainteresowanie się jej osobą i listy! Panu E. z Siemianowic oznajmia, że zainteresował ją i prosi go o list. Wszystkich pozdrawia".

POSTARAM SIĘ!

„Zosia — Wołynianka". O, to ładnie, że tak gorąco zabraliście się do pracy społecznej — oby ten zapał nie przygasł, lecz mnożył się i wzrastał coraz potężniej. Postaram się napisać znowu jakąś taką nowelkę — niechno uporam się trochę z listami „Krainy". Czy jesteś zadowolona z tej obietnicy?

Posyłam Ci najradośniejsze uśmiechy i serdecznie wołam „Wesołego Alleluja!"

Komunikaty: Kto z Braci Krainiackiej zna p. Zygmunta Lewandowskiego, lat od 35-ciu do 40-tu który w roku 1922 przyjechał z Kalisza do Lublińca na G. Śląsku ze swym plutonem żandarmerii wojskowej. Po zlikwidowaniu plutonu i utworzeniu posterunku wyjechał, prawdopodobnie do Łodzi. Jeżeli ktoś tego pana zna, niech będzie taki kochany i napisze mi! adres mój u Pani Zosi.

„Zaira". Nie martw się, kochanie! Pani Zosia i Wuj Janusz muszą kiedyś zamieścić swoje fotografie w „Krainie", nie widzę powodu, dlaczego mieliby otaczać się tajemnicą, skoro są tacy szczęśliwcy w „Krainie", którzy byli na zjeździe w Żninie, i mogli poznać ich osobiście. Podnieśmy tylko larum, a pewnej pięknej soboty otworzymy „Krainę" i na pierwszej stronie zobaczymy Panię Zosieńkę i Wuja Januszka, uśmiechających się do nas serdecznie!

I jeszcze jedna prośba — kto z „Rodzinki" prześle mi polskie słowa do serenady Schuberta? Będę bardzo wdzięczna.

„Biała Uajali"! Podobają mi się Pani wiersze nastrojowe!

„Irusia z Wołynia"! Pani wiersze są ładne, bardzo ładne!

Pozdrawiam Panie serdecznie: „Uśmiech Szatana" i „Wiedźmy z Debry". Jesteście kochane całuję Was mocno i wcale się Was nie boję!

Całej „Krainie" okrągły milion całusów. Bywajcie mi!

ŁADNY PSEUDONIM

„Fides". Co Ty chcesz od swego pisma, Dzieciaku? Jest zupełnie czytelne i estetyczne. Lubię Twoje listy i z radością czytam je zawsze. Podoba mi się Twój pseudonim i uważam, że dobrze uczyniłeś, podając go zamiast dawnych inicjałów. Wujkowi wręczyłam Twój list i opowiedziałam, jak to zachęcasz go do odwiedzenia fotografa. Uśmiechnął się po swojemu pogodnie i nieco tajemniczo, i że mu odpowiedziałam tym samym i na tym skończyliśmy. Życzę Ci promiennych Świąt i oczekuję znowu wiadomości!

„Halo! „Bajce" dziękuję za zainteresowanie się moją osobą. Pseudo zmieniłam, ale łatwo zgadniesz, kto jestem. Boję się pierwsza pisać, bo „Bajka" na pewno kocha piękno. Więc jak będzie? Kto jest „samotny" — niech pisze do „pobratymczej duszy", Adres u pani Zofii!

APEL

„Maryleczka". Przyjmuję Cię chętnie do naszego grona i zamieszczam Twój apel:

„Halo, Halo, miła „Rodzinko"! Jeszcze ktoś apeluje do Waszych serc — o trochę „serca", życzliwości i listów. Może zbyt obcesowo czynię to, ale inaczej nie umiem — to już takie u mnie przyzwyczajenie. Jak wyglądam, spytacie? Naprawdę, nic ciekawego — typ przeciętny a usposobienie zmienne.

„Marzycielu Mulforda", podobałeś mi się, mamy dużo wspólnych cech. Czyś naprawdę taki nieszczęśliwy i czy jeszcze szukasz?

„Podolanka". Zgadnij, kto ja — znamy się świetnie z K.. Dlaczego nie odpisujesz na list? Buzię całuję? „Chochlik", takaś strasznie miła! Jesteśmy koleżankami po fachu. Czy groźna z Ciebie kierowniczka? Ściskam łapkę!"

„KRAINO"!...

„Motylek". „Kraino"! Czy przyjmiesz do swego grona jeszcze jedną dziewczynkę, zwaną przez długi czas w klinice „Motylkiem"? Może ktoś w ten sposób odnajdzie starą znajomą i odezwie się. Obecnie bardzo się nudzę, siedzę na wsi i troszkę tęsknię za miastem. Zrobiłam się straszną marzycielką. Wprawdzie wolałabym dużo przeżyć, ale czasami trzeba tylko przemarzyć. Ostatnio ogarnęło mnie zniechęcenie do wszystkiego, ale pesymizm przemija, gdy czytam „Krainę".

Łatwo by mnie było pocieszyć, właściwie, bo jestem takim sobie motylkiem. „Kraino" daj znak, że przyjęłaś mnie do siebie!"

„Przybłęda leśny". Pseudo Twoje kogoś mi przypomina. O ile byłeś w listopadzie we Lwowie to się znamy.

„Mohikanin II". List Twój szalenie mi się podobał. Ja też kocham autorów Północy i lubię las. Napisz coś, odpowiem na pewno.

„Frasquita". Z listu Twego widzę, że mamy dużo cech wspólnych. Staram się też pocieszać, że wszystko źle minie kiedyś. Czy chciałabyś do mnie coś takiego pocieszającego napisać?

OCZEKUJĘ!

„Arianka". List Twój dosłałam — całuję i oczekuję nowej wiadomości!

POZDROWIENIA

„Tajny Detektyw" przesyła moc pozdrowień ze wschodu p. Hance Raiserównie.

WESOŁEGO ALLELUJA

Dzwonią dzwony, ozłocone
promieniami wiosny,
w wszystkie cztery świata strony
niosą dźwięk radosny.

A skowronek, jak ten dzwonek
hen w błękitach buja,
niesie ludziom w jasny dzionek
„Wesołego Alleluja".

Znikły cienie, a zbawienie
zajaśniało słońcem,
odkupione już istnienia
w otchłani tęskniące.

Dzwonią dzwony, przez zagony
nutę naszej duszy,
Serce Boga przebodzone
rozproszyło głuszę.

I tak z dala, rajska fala
szczęście nam zwiastuje,
duch nadzieją się rozpala —
„Wesołego Alleluja"!

„Przeklęta Iwa".

TAK PISZE...

„Donia" tak pisze do nas: „Ukochanej Pani Zofii, Wujkowi Januszkowi i całej najmilszej „Krainie" — przesyłam najserdeczniejsze pozdrowienia, ze skargą i żalem, że nikt nie chce do mnie napisać. Również proszę o załączenie pozdzrowień na łamach „Krainy" „Marzycielowi Mulforda".

Kochanie! Sądzę, że ta cicha skarga podziała na członków „Rodzinki", jak ostroga na szlachetnego rumaka i listy zasypią Cię wkrótce, że ani czasu Ci nie stanie na odpisywanie. Życzę Ci smacznego jajka wielkanocnego!

BĄDŹ POGODNA!

„Smutna Mariola". Zadowolona jestem, że cieszysz się z faktu przyjęcia Cię do „Krainy". Prace Twoje oddałam Wujkowi do oceny.

Bądź pogodną, Dziecino, i przyjemnie przeżyj Wielkanoc. Pa!

OCENI WUJEK JANUSZ

„Uśmiech szatana". Jak mnie to cieszy niewymownie, że „Kraina" dała Ci zadowolenie i radość. Uważaj, proszę Cię, na zdrowie, choroby serca zawsze są niebezpieczne. A czy skutki grypy w międzyczasie stały się mniej dokuczliwe? Interesuje mnie to dlatego tak bardzo, że kocham Cię, Drogie Dziecko!

Wiersze, nadesłane ostatnio, wręczyłam już Wujkowi, ocena ukaże się w swoim czasie. List dosłałam. Numery „Moich Powieści" zostaną przesłane przez naszą administrację na wskazany nam adres. Listu tamtego nie mogliśmy przesłać z przyczyn zasadniczych. Życzę Ci jednej wielkiej radości w czasie Świąt!

Komunikaty: „Jadwigo Limbo" — potężne jest Twoje SOS.! Pragnę Cię poznać bliżej. Oby wiosna dała Ci dużo słońca i pogody!

„Smutna Tojtana". Nie zgadnę, lecz całuję Twoje oczęta, ażeby roześmiały się do świata.

„Irusia z Wołynia". Jesteś kochana i taka bliska duszą.

Autorko noweli pt. „Jej pierwsza miłość" — poczułam do Ciebie szczerą sympatię. Może napiszesz do mnie?

„Tyranie" — czy nie sprawdzi się przysłowie „Samochwała — w kącie stała"? Oj, bo ze mną nie łatwa sprawa! Napisz.

„Pellu", zasługujesz na to, żeby pamiętać o Tobie.

„Burza". Depresja minęła czuję się lepiej. Napisz Haneczko dużo o sobie!

„Bajka". Ślę Ci mocny uścisk dłoni.

„Zabłąkany chłopcze"! Znam trochę Polesie i kocham te strony. Może napiszesz parę słów.

Przesyłam tą drogą serdeczne pozdrowienia moim znajomym z M-ma.

Jasieńko z „Czystej", dziękuję za kartkę.

„Wasiu" — „dank" za pozdrowienia, proszę oznajmić Wackowi Kr., że ma ukłony od Tosi-Ańdziowej. Wszystkim znajomym serdeczne pozdrowienia".

MOŻE NAPISZESZ?...

„Kaliszanka". List Twój dosłałam — Tobie posyłam dobre życzenia świąteczne. Może napiszesz do nas?..."

JA RÓWNIEŻ!

„Szczęśliwa żona". Dziękuję Pani za dobre słowa, skierowane pod moim adresem, bardzo dziękuję. I ja również mam dla Pani moc sympatii i uznania, jako dla człowieka, żony i idealnej pani domu. Naturalnie, że z ogromną przyjemnością zagłębię się w każdy poruszony przez Panią temat.

Nadesłane prace oceni Wujek Janusz w kolejce. Pozdrawiam i życzę najradośniejszych Świąt!

WESOŁEGO ALLELUJA!

„Wisieńka pomorska". Przyjmuję Cię do naszego grona z miłym życzeniem zadowolenia i radości. Powiedz mi, czy masz starszą siostrę — dziwnie znajome jest mi Twoje nazwisko. Pisz i przyjmij życzenia Wesołego Alleluja!

„Halo! Zaimponował mi „Mohikanin II". Ja też śpiewam, aż się ściany trzęsą.

„Śmieszko z Grudziądza" — skrobnij do mnie. Ponadto ślę pozdrowienia dla „Tyrana" i „Skowronka" Wszystkim zasyłam milusie pa!

„Danko z Pomorza", tak mi coś śpiewa, że Cię znam, ale trzymam palec na ustach. Panią Zosię ściskam. A może kto do mnie napisze, np. „Tyran"? Odpowiedź pewna!"

RACJA!

„Uśmiechnięta Wandula". Tak, Dziecino, dużo masz racji w tym, co piszesz o Otwocku. Sądzę, że stało się lepiej, iż opuściłaś to miasto. A co teraz robisz w domu, czy masz jakieś dobre zajęcie?

Posyłam Ci dobre życzenia i oczekuję następnego listu!

Komunikaty: „Smutna Ślązaczko". Liścik wysłałam. Przyjmij uściski.

„Wenus". Skąd mnie znasz? Czy mogę prosić o parę słów? Zasyłam moc serdeczności.

„Zaira". Bardzo piękne są Pani wiersze, szczególnie podobał mi się wierszyk „Jak ciężko". Zasyłam dużo całusów i uśmiechów. PP. Eugeniusz Kłosowski i „Ery Olgin'", gratulując za tak piękne utwory poetyckie, czytam każdą zwrotkę po kilka razy, aby mi utkwiła w pamięci. Jest to moja ulubiona praca. Dużo serdeczności.

„Wandzia Ma..." Ślicznie za liścik dziękuję — odpowiedź w krótkim czasie. Całuję buzię. Specjalne pozdrowienia zasyłam: „Sentymentalnej Rusałce", „Dziewczynie z zaklętego młyna", „Sercu Śląskiemu", (musi być Pan morowym chłopcem), „Samotnemu S" — dużo uśmiechów i radości, tak samo dla „Bronka P." Pozdrowienie dla P. E. P. Siemianice".

KTO TAKI?

„Taki jeden". Ach Ty mój niepoprawny łobuziaku — uśmiałam się znowu przy czytaniu Twego ostatniego listu. Ależ nie, zakusy Hitlera nie sięgnęły jeszcze tak daleko, aby miał konfiskować listy krainiackie — wszystkie wpływają regularnie i Twój z datą lutową wpłynął równie gładko, jak ten następny. Odpowiadam dziś na oba.

Kto to się we mnie „urżnął" do szaleństwa? „Ikat Nedej"? Coś tajemniczy to mocno wielbiciel — czy mam się go bać? A co znów sobie myśli „staroindyjski wujaszek"? A jaką to niby wyrządził mi krzywdę? Nic o niej (krzywdzie) nie wiem. Zato wiem, że szalenie lubię łobuziaka. Możel powiesz, Przyjacielu, temu ostatniemu, aby mnie nie nazywał „Reginą" w cudzysłowie, bo mam niczym nie umotywowaną wprawdzie, lecz niemniej istotną antypatię do fonetycznego brzmienia tej nazwy. Źle sobie wyobrażasz pewną osobę, lecz to nie przeszkadza — czasem lepiej jest wyobrażać sobie ludzi — niż ich poznać. Naprawdę! Czy nie pogniotła Cię ta ilustracja zanadto?

P. Jagienka Śliwina jest mężatką i nie ma nic wspólnego z siostrzyczką naszej z „Krainy". A teraz słuchaj, Przyjacielu Miły! Dźwięczą mi wspomnienia piękne acz beznamiętne tony pieśni „Lazurowe niebo" — znasz tą płytę? Przypomnij sobie lub wygraj tę melodią — jest piękna. Na drugi raz będą nowe pieśni. Vale!

„Frasquicie" dziękuję, szczerze odwzajemniam się pozdrowieniami. A równocześnie podaję do łaskawej wiadomości jak i innym „Krainiakom", że na razie straciłem na fasonie. Dlatego Drogie „Krainianki" proszę Was, wybaczcie mi to i pozwólcie mi się w Krainie trochę pobawić — tak na „jana".

„RODZINCE" NA ALLELUJA

„Konwalie" i „Róże" stroją stół biały,
„Złoty Dzwoneczek" zadzwonił już z wieży
I Alleluja „Brzózki" zaszumiały,
Ze stołu dłoń czyjaś święcone bierze.

Ktoś rzuca w przestrzeń serdeczne słowa,
To wszystkim „Smutnym", ile jest w „Krainie".
„Szara Niedolo" i „Dolo Cierniowa" —
W dzień Zmartwychwstania niech Wam radość spłynie!

„Złoty Promyczek Słońca" rozpogodzi
Bladą twarzyczkę naszej „Słowianki",
Odejdzie tęsknota, co w sercu ból rodzi,
„Białej Uajali" i kochanej „Blanki".

„Ogłuszony Kulosku" — podejdź troszeczkę
Są i dla Ciebie milutkie życzenia,
Niech Ci ta „Gwiazdka" lub inna „Gwiazdeczka"
Na zawsze życie Twoje opromienia.

Wszyscy „Samotni" i Wy, „Zapomniani" —
Dzieląc święcone myśl ma do Was wzleci,
Bądźcie weseli — a nigdy stroskani
I „Złote Słoneczko" niech Wam zawsze świeci.

Życzę dla Ciebie „Młoda Lublinianko",
„Anesi", „Czarodziejko", miła „Uroczynko"
Sukcesu w czarowaniu — a Ty „Kresowianko"
Bądź szczęśliwa i „Donia" mała dziewczynka.
Ty „Wichrze" roznieś słowa z serca mego
Wszystkim, kto się w „Rodzince" znajduje,
Powtórz cichutko pod oknem każdego,
Że „Wesołego życzę Alleluja".

„Wiedźma z debry".

WIELE RADOŚCI!

„Maruta". Dziękuję Ci serdecznie, Kochana, za życzenia świąteczne i odwzajemniam je gorąco. Niech Bóg ześle Ci dużo radości i zadowolenia!

Komunikaty: „Mała Konwalijka". Całuję mocno buźkę Twoją i bądź pewna, że zawsze o Tobie pamiętam.

„Słoneczna Jasieńka". Jesteś naprawdę promykiem słońca dla swych przyjaciół.

„Biała Uajali". Daj Boże, byś już stale miała tę posadę i byś była zawsze z niej tak zadowoloną, jak na początku.

„Zuch Dziewczyna". Przyjmij ode mnie moc dobrych życzeń i ukłony dla Kuzynki i Twych pracowniczek, czy współpracowniczek.

„Złoteńko". Wybacz, że tak długo nie pisałam do Ciebie — jestem brzydal cyganczysko — prawda?

„Bajce" i całej paczce, która chciała mnie odwiedzić w październiku ub. r., ślę przyjazny uścisk dłoni i jeżeli ktoś chce — niech pisze, to odpowiem.

„Czarny Hajduczku", „Blanko", „Samotna Maruto", „Wicho", „Młody Lesie", „Cierniowa Dolo" przyjmijcie uściski ode mnie. P. Lusiu Małdoniówno, może napiszesz, co?

WYDRUKUJĘ

„Ilar IV"! Owszem, wydrukuję Twoją nowelę, ale w odpowiednim i dogodnym dla nas czasie — wszystko musi mieć swoją kolej, Przyjacielu!

Naturalnie, pisz tę powieść i przyślij mi ją do oceny. Jedną zwrotkę Twego wiersza dałam na okładkę, reszta pójdzie później. To, co mi pisałeś o Swoim kuzynie nie zgadza się z prawdą. Prace jego natomiast były drukowane w IKP. w dodatku „Rodzina". Pozdrawiam Pana serdecznie i zachęcam do dalszej pracy.

BĘDZIE CI Z NAMI DOBRZE

„Powiew od skał". Z rękoma otwartymi przyjmuję Panią do „Rodzinki", Droga Moja, mamy pewność, że będzie Ci z nami dobrze. Może uda nam się otoczyć Cię ciepłem rodzinnym, które straciłaś przed rokiem. Dam Ci radę — zaapeluj do „Przedwiośnia", aby zechciała skomunikować się z Tobą, znajdziesz w ten sposób miłą i dobrą towarzyszkę w obojętnym środowisku obcego Ci miasta. Pozdrawiam Cię serdecznie i zamieszczam apel: „Halo! Może są tacy, którzy mieszkają w Bydgoszczy, lub w pobliżu, proszę niech się odezwą — będę im bardzo wdzięczna. Proszę również wszystkich z „Krainy" żeby napisali do mnie a z radością odpiszę!"

WYJĄTKOWO

„Marzące Oczy". Wyjątkowo uwzględniłam dziś Twoją prośbę, ale w przyszłości będziesz oczekiwała swojej kolejki. Dlatego tak mało piszę, że muszę mnóstwo odpowiedzi pomieścić w jednym numerze. Niech Cię to nie smuci. Wybierz się przy stosownej pogodzie do redakcji — pogawędzimy sobie miło. Zdjęcie Twoje ukaże się wkrótce. Życzę Ci „Wesołego Alleluja"!

Komunikaty: „Smutna dziewczynka znad Gopła". Kochanie, dziękuję Ci za pamięć o mnie. Dziękuję Ci również za Twą staropolską gościnność. Kiedy znów się spotkamy?

„Saleczko"! Bawiąc we Włoszech nie zapomnij w tym pięknym kraju o „Rodzince" przysyłając jej choćby maleńkie pozdrowienie. Myślę, że opiszesz nam potem swe spostrzeżenia, z tak dalekiej podróży do Włoch?

„Lusiu"! W rzeczywistości jesteś 100 razy piękniejsza, jak na fotografii, umieszczonej w „Krainie". Dlaczego to ja nie jestem „Krainiakiem"? Zaraz bym do Ciebie skrobnęła. Całuję Twą naprawdę piękną buzię i dziękuję za pamięć!

Pani Kostuś J. z B. Przyjemności w podróży za granicę. Pamiętaj tam i o mnie. Całuję Twą wiecznie poważną „fizjogębusię". Do zobaczenia pa — pa, Kotuś.

Tekluś z B... Czy poznajesz tę fotografię! Przesyłam Ci tą drogą pozdrowienia. Do zobaczenia w lecie. Kabały przeze mnie kładzione sprawdziły się?

„Nell z Bydgoszczy". Za pozdrowienia dziękuję i tą drogą się odwzajemniam. Jestem w B. od 3.4.39. do 12.4.39. Nie chciałaby mnie Pani odwiedzić? Mieszkam — Łokietka 8 m. 8.

„Krainianki" i „Krainiacy" z Teczki Wujka Janusza! Dlaczego zapomnieliście o mnie? Proszę Was, Poświęćcie jaki wiersz „Marzącym Oczom".

„Malutką Lenę", „Samotną Włościankę", „Szarą Falę" — mile pozdrawiam".

ZAŁATWIŁAM

„Eros". Załatwiłam to, o co mnie prosiłeś, Drogi Siostrzeńcze! Przykro mi, że tamta przesyłka naraziła Cię na koszt, ale nie zauważyłam doprawdy, że list przeważa. „Ciotunia" w tym roku karnawałowała mało — tak się jakoś złożyło. Możemy sobie ręce podać. Za to z wiosną zaczniemy wycieczkować i w ten sposób powetujemy sobie karnawałową stratę. Czy podzielasz moje zdanie? Ślę Ci najserdeczniejsze życzenia, spędź Święta jasno i radośnie.

„Bajko"! Co znaczy Twe milczenie? Co porabiasz? Czy wyjechałaś na biegun północny? Odezwij się. Serdecznie pozdrawiam.

„Orlica". Długo nie piszesz. Czy pogniewałaś się? Przykro mi bardzo, że... ale nie w mojej mocy zmienić bieg losu. Czy miałbym się pomylić co do jednomyślności? Pozdrawiam serdecznie i czekam!...

„Szara Dziewczynka". Co słychać u Ciebie, jak bawiłaś się? Czekam wieści i pa!

„Przedwiośnie". List odebrałem i życzenie spełniłem, ale bez skutku. Dlaczego nie podpisałaś się, dając adres? A życzenia, czy już nieaktualne? Pozdrawiam serdecznie i czekam ewent. wieści.

„Frasquita". Jeżeli napiszesz pierwsza — chętnie nawiążę kontakt. Warunki odpowiadają mi, ale nie chcę się narazić, natomiast odpiszę obszernie.

„Hermes". Czy napiszesz do mnie? Bardzo będę rad. Ściskam łapę.

Wszystkim „Krainiakom" radosne pa!

„Psychoanaliza". Co porabiasz? Jak się czujesz? Może odezwiesz się. Ślę pozdrowienia i uśmiech radości!

GDZIE BĘDĘ...

„Awiata". Zdjęcie Pana włożyłam do albumu na pamiątkę. List oddałam Wujkowi.

Życzę Panu wszystkiego najlepszego i zamieszczam Jego apel:

„Halo, „Krainiacy" z Pomorza! Może ktoś skrobnie do mnie? Lubię sporty, turystykę i śpiew. Czekam na odzew!

„Anen". Podaj województwo, w którym mieszkasz. Na nadchodzące lato mam wyznaczone marszruty: Warszawa i północne Lubelskie oraz Bydgoszcz Kościerzyna. Być może, że zamiast tej ostatniej będę w Ustianowej na Podkarpaciu. Jeżeli Pani mieszka na Wołyniu, to może znasz miejscowości Lenin i Sarny — mam tam znajomych.

Wszystkim ślę pozdrowienia."

TECZKA wuja Janusza

ZAWIÓDŁ RYM!

„Safo". W sprawie powieści otrzyma Pani odpowiedź listowną, ocenę wierszy wydaję poniżej:

Rytm i stylistyka wierszy — bez zarzutu, tylko rym zawiódł. Np. połączenie takich wyrazów — „zdobi" — „Tebi", „bój" — „dół", „głos" — „kres" itp. Chodzi więc teraz, aby Pani usunęła te wszystkie niedociągnięcia i nadesłała mi już utwory bez zarzutu.

Łączę dużo miłych pozdrowień!

ŻYCZĘ PANI...

„Irusia z Wołynia". Na wstępie komunikuję Pani, że do teczki redakcyjnej odłożyłem trzy wiersze „Nasz Marszałek", „Naród i Ojczyzna" oraz „Miłość i kłamstwo". Ciekawy jestem, na jakie tematy teraz Pani napisze? Może trochę o wiośnie, rodzącej się nadziei i radości życia? To bardzo wdzięczne tematy! Życzę Pani, „Irusi", jak najlepszego humoru i natchnienia do pisania pogodniejszych listów, niż był ostatni. Niech w nowym słonku odrodzi się smutna dusza Pani i nabierze tej świętej, nieziemskiej wiary, która cechuje ludzi silnych i zawsze dzielnych. Żegnam Panią ciepłym uściskiem dłoni!

ZMIŁUJ SIĘ PANIE!

Boże! — — —
Który stworzyłeś słońce, niebo, morze,
Ty!... który rządzisz ziemią i gwiazdami
Zmiłuj się nad nami!
Zmiłuj się, Panie, nad swym wiernym ludem,
Patrz, jak los nas chłosta, z jakim idziem trudem.
Utrzymaj, Panie, pokój nad ludami —
Zmiłuj się nad nami!
Zmiłuj się, Panie, prowadź nas do chwały,
Zachowaj nam Polskę wolną, niepodległą,
Tylu już Synów, ku Jej chwale legło,
Tyle już matek płacze nad grobami —
Zmiłuj się nad nami!
Zmiłuj się, Panie, przygarnij nas do Siebie,
Zachowaj miłość w sercach Twoich dzieci,
Niech wstąpi w serca zbolałe otucha,
Niech gwiazda szczęścia nad nami zaświeci, —
Niech będzie mniej nieszczęść, oczu zlanych łzami —
Zmiłuj się nad nami!
Zmiłuj się, Panie, przygarnij nas do Siebie,
Ochroń nam Kościół, Ojczyznę, Kochanych,
Natchnij nas wiarą, gorącą do Ciebie,
Niech będzie mniej ludzi boleścią steranych,
Odwróć nieszczęścia, co wiszą nad głowami —
Zmiłuj się nad nami!

Janina Pradowska.

WIERSZE PÓJDĄ DO DRUKU...

„Duży Dzieciak spod lasu". Wiersz — „Wiosna" trochę słabo opracowany, a „Zmiłuj się Panie!" przedrukowuję w dzisiejszym numerze. Chyba to zachęci Panią do coraz wydajniejszej pracy i pogłębi znacznie nawiązany kontakt z moją „Teczką".

POSŁUCHAJ RADY

„Rajski Ptaszek". Przeczytałem nowele Twoje: „Srebrna królewna", „Isold Czarnooka", „Kwiat paproci" i wiersz pt. „Czar". Żadnej z tych prac nie zaklasyfikowałem do druku. I jeżeli chcesz posłuchać rady doświadczonego, to przestań na razie pisać, a zabierz się ze zdwojoną gorliwością do nauki. Może po kilku latach sumiennej nauki uzyskasz dostateczne podwaliny do pracy twórczej, bo pomysły masz ciekawe, ale opracowanie niestety jest słabe, a np. taka ortografia, wręcz rozpaczliwa! Naprzód należy opanować elementarne podstawy pisania, jak poprawność ortografii i stylu, a dopiero później można ewentualnie zaryzykować próbę, czy ma się talent pisarski, czy też nie. Weź to proszę, co napisałem, pod uwagę, a na pewno podzielisz moje zdanie.

Pozdrawiam Cię przyjaznym uściskiem dłoni.

MIŁOŚĆ I KŁAMSTWO

Jest coś... na co czekasz nieraz całe życie
I w wyobraźni snujesz marzeń wstęgi,
A kiedy przyjdzie... może płaczesz skrycie,
Myślą zataczasz najwspanialsze kręgi,

To miłość... miłość czysta, święta
Która uśmiechy rzuca i... tęsknoty,
Lub grzeszna, strojna w błyszczące maskoty
A czasem taka dziwnie niepojęta.

Ile zdrad, kłamstwa kryje się w tym słowie
Ile podstępu, a nawet podłości,
Bo kiedy snujesz nić wielkiej radości
Smutek dłoń swoją złoży na twej głowie.

Jeśli ktoś uczuć swych utka kobierce,
Bez słów wyjętych z powieści czy wierszy
Wierz... on miłuje w życiu po raz pierwszy
Z prostotą przecież oddaje Ci serce...

„Irusia z Wołynia".

BOJĘ SIĘ...

„Ta-N-4". Dziwnie tajemniczy jest ten pseudonim Pana, ale nie wchodzę w to głębiej, gdyż mam daleko ważniejszą sprawę na sercu. Mam wydać ocenę o nadesłanym wierszu? Boję się, że ma Pan słabe nerwy i nie pogodzi się tak łatwo z faktem, że jest on bardzo słaby i tak banalny, że aż mdli. Tyle o wierszu! Z kolei pozdrawiam Pana i czekam na obszerniejszy list i nowe utwory!

TWÓRCZOŚĆ ROKUJE JAK NAJLEPSZE NADZIEJE...

„Zadzior". Z trzydziestu dwóch nadesłanych wierszy wybrałem do druku niżej wymienione: „Źle jest z nami", „Krainiacy!", „O, gorzej!...", „Przepadły bez wieści!...", „Do czynu!...", „Nie powróci", „Sierota", „Ciężko się żegnać!...", „Dzięki składam Tobie, Boże!..." i „Nie ten zna smutek..." Pozostałe utwory posiadają szereg niedociągnięć.

Na zakończenie śmiało mogę Panu oświadczyć, że twórczość Pana rokuje jak najlepsze nadzieje na przyszłość i przy dobrych chęciach Pana może jasno zabłysnąć!

DZIĘKI SKŁADAM TOBIE, BOŻE!...

Za ten świt blado szary,
za pąsowe ranne zorze
i za słonka wschodów czary —
dzięki składam Tobie, Boże.

Za ten dzionek życiem wrzący,
za błękitów tych przestworze
i za słonka promyk drżący —
dzięki składam Tobie, Boże.

Za łan ziemi, co go orzę
za szumiące łanów zboże
i za kwiatów barwne wzory —
dzięki składam Tobie, Boże.

Za te piosnki, skrzypki, grania,
za uciechy, tańce hoże
i za szczęście od zarania —
dzięki składam Tobie, Boże.

za łan ziemi, co go orzę
Za tę chatkę, ojców wiarę,
i za zdrowie czerstwe, jare —
dzięki składam Tobie, Boże.

Za wieczorne krwawe blaski,
za tę noc, co snem mnie zmorze
i za tyle, tyle, łaski —
dzięki składam Tobie, Boże.

„Zadzior".

DLA CHRYSTUSA

Serce Ci, Jezu, zaniosę,
niech bije tylko Tobie,
a latem w dojrzałe kłosy
rozpięty krzyż ozdobię.

I zmówię szczerze „credo"
i powiem mocno „wierzę",
Ty mnie złym ludziom nie dasz,
choć z wrogiem dasz się zmierzyć.

A gdy nadejdzie jesień,
ja przyjdę znów do Ciebie — —
Patrz! ma modlitwa pnie się,
powojem tam — pod niebo!

A gdy nadejdzie zima
i Boże Narodzenie,
że kocham Cię, mój Jezu,
powie to me westchnienie.

Gdy wiosna znów zakwitnie,
gdy przyjdzie pierwsza burza,
złożę na Twym ołtarzu
pachnące, świeże róże.

Tadeusz Multański.

DRUGA ODPOWIEDŹ BYŁA TRAFNA...

„Te-Em". Z powodu „Wierny sługa" zaszło widocznie jakieś nieporozumienie, co może łatwo się zdarzyć, biorąc pod uwagę setki skryptów, zgromadzonych na moim biurku. W każdym razie druga odpowiedź była trafna i na niej tylko może się Pan opierać. W teczce redakcyjnej jest jeszcze około dwudziestu wierszy Pana. Do nich przybyły jeszcze dwa z ostatnio nadesłanych — „Moje pieśni" i „Dla Chrystusa". Zauważyłem, że stara się Pan pisać coraz lepiej, jednakże lekceważy Pan sobie jeszcze rym. Spotkałem np. takie połączenia: „smutek" — „tłucze", „mózgu" — „bruździć" „pierwszy" — „piersi". Kwiatki takie psują najpiękniejsze myśli, dlatego radzę Panu strzedz ich się, jak zarazy. Inaczej kosz redakcyjny pozostanie w dalszym ciągu gościnny dla Pańskich utworów.

Cieszy mnie, że zawsze śledzi Pan z wielkim zainteresowaniem karty „Moich Powieści". Te drobne spostrzeżenia Pana są bardzo cenne dla naszej redakcji i częstokroć rzucają właściwe światło na niektóre sprawy.

Ślę Panu dużo miłych pozdrowień!

PIOSENKA

Piosenkę mam ciągle na ustach —
piosenkę w me życie wplatam.
Piosenką, to rzewną — to pustą —
umilam biegnące lata.

Piosenka — to wierny towarzysz —
słodyczą serce mi poi.
Piosenka i uśmiech na twarzy —
bolesne przeżycia koi.

„Niesforna Lulu".

ZŁY OMEN

„Niesforna Lulu". Na biurku moim leżą cztery listy Pani oraz trzynaście wierszy. Trzynaście! — zły omen! Oj, i bardzo zły, bo dwanaście wierszy zawiodło! A teraz czemu? Prawdopodobnie dlatego, że pisze ich Pani za dużo, może nieraz bez natchnienia, głębokiego namysłu i ochoty! To wszystko więc mści się! I tak — zdarza się częstokroć, że dwadzieścia zdań w wierszu Pani jest idealnie zbudowanych, a już dwudzieste pierwsze zdanie — stanowi niemiły zgrzyt i zmusza mnie do odrzucenia wiersza. Na przyszłość radzę zatem Pani pisać i tworzyć z jak największym rozmysłem i zawsze korzystać z natchnienia.

O „łamaniu pióra" nie potrzebuje Pani absolutnie myśleć, tak samo, jak nie potrzebuje Pani wątpić w swoją inteligencję. Skąd te czarne myśli, Miła „Lulu"? Zupełnie ich nie rozumiem!

Kiedy otrzymam od Pani nowy list? Szybko, prawda?

Dopisek zamieszczam:

„Frasquito"! Prawda, że jesteś Broneczką G. — uzdolnioną „worożychą"? Jeżeli tak, to wiesz, jak bawią się u Trzaski i znasz doskonale A. Cz. Co porabia J. W., czyli „Czarna Kropeczka"? Ucałowanie dla niej i, osobne dla Ciebie. Zgadnij, kim jestem!"

DAREMNY TRUD I WALKA!

P. L. S. A. — Wołyń. Drogi Panie! Nadesłane wiersze są bardzo słabe, tak słabe, że nawet nie silę się ich poprawiać. To nie miałoby celu, podobnie, jak nie będą miały celu wszelkie wysiłki Pana w kierunku pisania, wierszy. Poetą trzeba się urodzić! Bez iskry talentu nic się nie zdziała na polu poetyckim. Daremny trud i walka! Lepiej oddać się innym zainteresowaniom!

Przesyłając Panu powyższe pod uwagę, wierzę, że Pan mnie dobrze zrozumie i na znak, że nie żywi do mnie żadnej urazy — znowu napisze długi list!

WZRUSZA MNIE TO...

„Szczęśliwa żona". Proszę, niech Pani serdecznie podziękuje Mężowi za to bezinteresowne propagowanie „Moich Powieści". Wzrusza mnie to mocno i każe wierzyć w dobro poczynań ludzkich.

Wiersze Pani — „Wezwanie" i „Tak żyć!" — są dobrymi utworami. Obydwa pójdą do druku.

Łączę miłe pozdrowienia i uściski rąk dla Pani i Jej Męża.

TAK ŻYĆ!

„Kalinie" w odpowiedzi na wierszyk „Jak żyć?"
Pożyczyć promieni od słońca,
uśmiechnąć się szczerze do ludzi —
wytrwałą być w pracy do końca,
a szczęście się samo potrudzi...

W sercu zbudować ołtarze,
gdzie znicze ognia nie gasną —
i tam snuć cudne miraże,
świątynię mając własną...

Cel jeden wytknąć wytrwale,
co dzień tam zdążać powoli —
choć drogę przetną spirale,
nie mówić o tym nikomu...

Maria de Sch. Hayderowa

UTWORY SĄ ŁADNE I POGODNE

„Uran". Wyciągam do Pana dłonie, rozbrojony Jego serdecznym listem i pełen zachwytu dla nadesłanych wierszy. Postanowiłem wydrukować następujące: „Życie", „Przetrwam", „Dlaczego płaczesz?", „Błogosław Boże!", „Idź precz!", „Bajka" i „Zaśpiewaj ptaszę". Wszystkie te utwory są ładne przepojone wielką pogodą. — Wdzięczny jestem Panu, „Uranie", za ten słowiczy śpiew. Coraz więcej

mam z Pana pociechy i zadowolenia. Oby dźwięczna struna w duszy Pana nigdy nie umilkła, lecz zawsze brzmiała serdecznymi melodiami szczęścia!

IDŹ PRECZ!...

P. Irenie Marii Wójcikowskiej — poświęcam:

Idź precz ode mnie, szczęście ułudne,
Idź precz, ja nie chcę znać cię, och nie —
Bywasz promienne, jak niebo cudne,
Lecz tylko w swoim zwodniczym śnie.

Idź precz — ja w ciebie nie wierzę wcale,
Idź precz — ja nie chcę o tobie śnić,
Lecz jak te szare, wód morskich fale,
Płynąć spokojnie i w zmierzchu żyć.

Idź precz ode mnie, idź precz na wieki,
Idź — niech cię nigdy nie ujrzę już.
Sam pójdę z życiem w ten świat daleki,
Wśród blasków słońca, wichrów i burz.

Eugeniusz Halman

TRUDNO UWIERZYĆ...

„Jadwiga Limba". List Pani brzmi jak najbardziej fantastyczna bajka. „Jestem prostą dziewczyną i brak mi wykształcenia..." Trudno w to uwierzyć, gdy ma się do czynienia z tak pięknym stylem i bogactwem myśli! Talent, to zaiste fenomenalna rzecz! Trzeba schylić przed nim nisko głowę!

Nowelki Pani są obydwie ciekawe, jednakże do druku przeznaczam tylko „Księżniczkę", gdyż „Jasiek i Maryśka" trochę szwankuje. Z wierszy wybrałem: „Deszcz pada"..., „Kiedy będziemy znów sami"... i „Mówisz mi"... Utwór „Limba" zawiódł pod koniec, jeżeli jednak zada Pani sobie trochę trudu i poprawi rytm w ostatniej zwrotce przedrukuję go jak najchętniej.

Powieść proszę mi przesłać do oceny.

Tyle na dzisiaj! Pozdrawiam Panią serdecznie i zamieszczam Jej komufnikaty:

„Lucet", czy otrzymała Pani list? Czekam na odpowiedź! Dużo, dużo miłych pozdrowień!

„To-ja"! Proszę bardzo napisać! Sądzę, że pogawędka dałaby nam zadowolenie. Czy Pani jest autorką wierszyka — „Dziecko", zamieszczonego w przedostatnim numerze „Mojej Przyjaciółki"? Serdeczne pozdrowienia.

Wszystkim Poetkom i Poetom „Teczki" dużo ciepłych słów!"

RADZĘ PISAĆ MNIEJ...

„Wiedźma z debry". O losie swoich wierszy dowiedziała się Pani z poprzednich numerów, prawda? Z ostatnich przeznaczyłam do druku — „Chciałabym ja"..., Już wiosna..." i „Skonały na niebie zorze..." Reszta wierszy posiada liczne dysonanse. Radzę więc Paniom pisać mniej, a dobrze. Będę więcej wdzięczny za jeden dobry wiersz miesięcznie, niż za dwadzieścia słabszych tygodniowo. Wiem, że stać Panie na rzeczy dobre i wartościowe, dlatego jestem surowy i nie daruję najmniejszego wykroczenia!

Pozdrawiam Panią i załączam ciepły uścisk dłoni dla „Przeklętej Iwy". Równocześnie komunikuję, że „Przeklęta Iwa" otrzyma odpowiedź listowną, jak tylko znajdę chwilę wolnego czasu do przestudiowania nadesłanych zeszytów.

JUŻ WIOSNA!...

Coś mnie niesie, jak na skrzydłach,
jakaś radość cicha —
czyż dlatego, że już wiosna
wokoło oddycha?

Słonko pieści jasnym złotem
błękit nieba czysty,
a w błękicie tym skowronka
słychać głos srebrzysty.

Świat dziś inny, że radośnie
serce mi zabiło,
czyżby coś, co kiedyś poszło,
dzisiaj powróciło...

Maria Chmielewska

Jest kraina, w tej krainie...

(FELIETON HUMORYSTYCZNY)

„Kraino luba moja! Jesteś jak sto złotych!
Ile Cię trzeba cenić, ten tylko się dowie,
Kto Cię stracił. Dziś pragnąłbym napisać o tych,
Co sercu bliscy. (Co krytyka na to powie?...)

Częstochowskimi rymami zaczynam swój pierwszy i ostatnim za dyspensą felieton. Ażeby ktoś w trakcie czytania nie pomyślał, że to nekrolog, dałem w podtytule: felieton humorystyczny. Może nawet zdziwić kogoś, w pierwszym rzędzie P. Zofię i Wujka Janusza, że ten nekro... przepraszam, felieton znalazł się na maszynie rotacyjnej. Ale to jest już tajemnica, wiążąca dozgonnie mnie, to jest autora i woźnego redakcyjnego.

Wielmożna „Kraino" nie tyle mlekiem, co szczerością i naszymi troskami przepełniona! „Być albo nie być" — powiedziałby Hamlet. A ja sobie powiedziałem: być poetą, albo nim nie być. Przechodząc od słów do czynów napisałem... (tylko proszę się nie śmiać) wiersz, tak, prawdziwy wiersz, jakiego by się i p. Baranowski nie powstydził. Skłoniła mnie do tego nie sama tylko potrzeba tworzenia — prawdziwy „rymarz" nazwałby to natchnieniem — ale raczej względy z obowiązku krainiackiego wypływające w myśl zasady: każdy „Krainiak" poetą i na odwrót. Wiersz ów udał mi się na podziw... a może go powtórzyć? Tytuł miał: „Reduta Hanki Ordonówny". A więc zaczynam:

Nam tańczyć nie kazano. Wstąpiłem na parkiet
I spojrzałem na salę...

Co? Dosyć? Niech i tak będzie. Ażeby jednak świat dowiedział się o moim talencie, wysłałem go (nie talent, ale wiersz) do Wujka Janusza, wedle tej tam aprobaty. Odpisał mi że owszem, nie można powiedzieć... że ani zbyt długi, ani zbyt krótki, taki w sam raz. Nawet bardzo mu się spodobał, tylko wolałby, ażebym, już lepiej powieść napisał... Cóż było robić! Napisałem powieść. Bodaj jeszcze lepsza od wiersza. Treść fascynująco-sensacyjna! Styl najlepszy na jaki mnie stać w ogóle. Ujęcie kapitalne, no i całość pięknie wykaligrafowana na papierze... pakunkowym. Tytuł: „Wesołe przygody babci w podróży dookoła pieca, czyli tragiczne dzieje jej męża, to jest „dziadka". Powieść nie tyle na czasie, co na papierze. Wujek Janusz był nią więcej jak zdumiony, powiedziałbym nawet zachwycony. Odpisał więc, że powieść dość dobra jak na moje zdolności pisarskie, ale woli już moje wiersze... Z dwojga złego, mówi, lepsze to minejsze, w tym wypadku krótsze. Wiedziałem, czym to pachnie i mówię: dość tego, lutnio moja złotostrunna! Sprzedam cię dziś jeszcze w pierwszym lepszym sklepie ze starzyzną! Nie dałaś mnie natchnienia, może dasz go lepszemu ode mnie poecie!

Gdyby ktoś z „Krainy" zainteresował się nią, dodam dla zachęty, że prawie jeszcze nowa, mało używana, proszę się powołać na mnie u właściciela sklepu, rabat 10 proc. zapewniony!

Wszystkie istoty, obdarzone wzrokiem, potwierdzą zgodnie, że „Kraina" powiększyła się i stale powiększa z dniem każdym. Ale mnie to nie cieszy. Po pierwsze: na odpowiedź w „Krainie" trzeba będzie czekać nie 1—2 miesięcy, jak dotychczas, ale 1—2 lat, a to ani przyjemne, ani zachęcające. Po drugie: kwestia żydowska. Osoby spod znaku siedmioramiennego świecznika, eksmitowane z każdego prawie państwa za brak patriotyzmu gospodarczego, niewątpliwie rzucą się do „Krainy", jako jedynego państwa, które nie zamierza (na razie) wprowadzić „numerus clausus". Ażeby na przyszłość uniknąć rozruchów antysemickich, radzę P. Zofii jeszcze dziś zamknąć wszystkie odcinki granicy naszej „Krainy"

...Że nie skorzysta Pani z mojej rady? Dobrze ale żeby potem na mnie nie było. Proszę o wodę! Umywam ręce.

A ja, czy jestem stuprocentowym aryjczykiem — pytacie? Nie, proszę wielmożnej „Krainy" Jeden z moich przodków (..przodków, czy to aby nie za wulgarny wyraz? Sugeruje on mi zawsze t. zw. odwrotną stronę medalu) p. Noe był — jak mi wiadomo z kronik rodzinnych, żydem. Dyskredytuje mnie on w oczach „Krainy" to prawda, ale powiedzcie mi szczerze, że gdyby nie ten mój szlachetny, daleki krewny, kto by z Was oglądał „Krainę"?

Uważam, że pro publico bono powinna P. Zofia silniej chwycić ręką za ucho... władzy. Czasy są niepewne. P. Zofia obchodzi się nadal z „Krainą", jak z nowonarodzoną dziecinoroślą, a przecież ona (t. zn. Kraina, nie P. Zofia) ma już około 7 lat, ten bęben! Z drugiej znów strony uważam, że podatki są za wysokie. Żąda P. Zofia, ażeby swój haracz składać przynajmniej raz w miesiącu około pierwszej kwadry (to zapewne zaraz po „pierwszym") (haracz, czytaj: list). To znów podczas wiosennego i jesiennego przesilenia dnia z nocą musimy składać hekatombę Wujkowi Januszowi ze swych natchnień poetyckich w postaci surogatu poezji! Doprawdy, żadne ze znanych mi państw nie jest tak bezwzględne w ściąganiu należnych danin, jak „Kraina". Wobec tego stać, ja wysiadam!

Jako się rzekło, czasy są niepewne. Radzę zmobilizować zawczasu nasze siły militarne. „Młody Orzeł" niechaj ściągnie z eskadrą do Żnina, a „Szukający Podchorąży" wygotuje strzykawkę! „Błękitny Ognik" niechaj z drużyną przerobi jeszcze raz obronę przeciwlotniczą i gazową! „Pell" znów niech napełni bak benzyną! „Maleńka Lea" niechaj w moim imieniu podejmie z „Columbia State Bank" w New Yorku powiedzmy kilka tysięcy dolarów na razie! Pozostali, a więc wszystkie „Nelle", „Białe Uajali", „Stefcie", „Wirtuozki", „Irusie" i „Irki" itd., tudzież „Ikary", „Samotni", „Smutni", „Wytworni" i tym podobni stworzą nam pospolite ruszenie z bronią lub bez broni jak komu będzie wygodniej. Ciekawe, kto też obejmie naczelne dowództwo naszych sił zbrojnych? Wujek Janusz, czy też P. Zofia? Wujek Janusz, jako minister od poezji i innych sztuk nadobnych wydaje mi się nieodpowiedni na to stanowisko. Dlaczego? Apollo i Ares zawsze z sobą koty darli. Pozostaje więc tylko P. Zofia. A więc! Proszę nas prowadzić do zwycięstwa!

Do czego, ja mógłbym się jeszcze „Krainie" przydać? Hm... Aha! będę dostarczał przeciwnikom rannych, a jak się nie zdarzy, to i zabitych. Albo nie, przydam się na pewno jako sprawozdawca wojenny mojego koncernu „Ostatnie Wiadomości X Y cena 13 groszy". Bo to widzicie, taki sprawozdawca wojenny — powiem Wam tylko na ucho — ma stosunkowo najlepiej na wojnie. Siedzi sobie wygodnie na „tyłach", „tyle" lub „siedzeniu" i oczekuje cierpliwie zwycięstwa, a gdy tych sprawozdawców jest kilku, to i roberka sobie zrobić można! Taki sprawozdawca w razie czego, pierwszy podaje „tyły", a wiadomo, stamtąd najbliżej do domu! Czy aby podołam zadaniu? Proszę się nie martwić! Podczas ostatniej rewolucji w Meksyku, nie potrzebuję chyba dodawać, że tam rewolucja jest zjawiskiem tak powszednim, jak gdzie indziej np. grypa, określenie znów „ostatnie" jest co najmniej przedwczesne, bo po tej ostatniej było już coś siedem rewolt udanych i dwie nieudane. Otóż podczas tej „ostatniej" rewolucji zostałem właśnie wysłany tam przez mój koncern w charakterze sprawozdawcy wojennego. I nie wiecie może, że w mojej pracy zawodowej zostałem wysoko odznaczony, a tak! ... jakiś patriotyczny nie tyle może, co krewki senor „zajechał" mniej wielokalibrowym Coltem w głowę... (wyżej już nie można było).

Skoro „Kraina" ma nosić pozory państwowości, to potrzebna jest jej konstytucja. Dotychczas jej nie było i nikt nie wiedział, jakie ma prawa naprawdę obowiązki, a jakie przywileje. Zobowiązuję się dostarczyć projekt tej konstytucji i dla przedyskutowania jej i ewentualnego przyjęcia proponuję zwołać zjazd Krainiaków (nek) do Żnina.

...Niewykonalne?... i że robię aluzje? Przepraszam, trafiłem widocznie w kompleks...

Że ja również nie byłem na zeszłorocznym zjeździe? Ze mną, to co innego... „bo ja mam żonę, a u mojej żony jest synek taki maleńtki", jak by powiedział Tońko ze Lwowa.

Chcieć „Krainę" krótko scharakteryzować, to trzeba powiedzieć, że dzieli się ona na dwie mniej więcej równe części: na optymistów, t. j. tych, których Pan Bóg pokarał noszeniem szkieł na nosie. Ostatnio coraz modniejsze są o zabarwieniu mniej lub więcej różowym, oraz na „pejsymistów". Tych ostatnich nie należy utożsamiać z Izraelitami, którzy tworzą odrębną kastę pejsymistów. (pejsymista — mający pejsy).

Pewna znajoma, nie należąca do „Krainy", pytała się mnie, czy ta nasza „Kraina" to aby nie abstrakcja i bodaj czy nie fikcja. Odpowiedziałem, że jest ona bardziej konkretna i materialna, niżby się zdawało. Bo proszę.... Materiałem, którego używamy do budowy w „Krainie" jest... no zgadnijcie co?... Odpowiedź! Mamy pod dostatkiem odpowiedzi murowanych, betonowych, żelazobetonowych... starczy ich dla nas i naszych dzieci!

Szanujący siebie i swój fach felietonista zawsze suszy sobie głowę o twarzowe zakończenie swych felietonów. Ja natomiast uważam, że należy postawić kropkę i będzie zakończenie. I tak też robię...!

Szadkowski Henryk (Amerykanin).

— A no, wyjechali my zaraz jakem tylko na leśnictwo przyszła. Na sam wiecór to już było. Ledwośma ujechali kawał drogi w łas, a tu zerwała się ta burza. Najpierw ten wicher taki, co to aż dziw że wszystkich drzew jak zboże na polu nie ukradł. A po tym pierony jak nie zaczną prać... O Jezu! Łaska Boska, że człek życiem wyszedł z tego piekła. I ciemność ci taka, że choć oko wykol! Końskiego ogona, choć siwkami jechali my, nie zobaczyć! Raz wjechali my w rów, drugi raz w rów. Ledwo pozbierać się można było. I orczyk nam trzasnął. Furman jak nie zacznie kląć. A ja na niego: Nie klnijcie, na Boga, kiedy taki ogień z nieba leci, jeno się módlcie lepiej, bo Bóg pokarać gotów! A on mi na to: A żeby was wszystkie diabli roznieśli, żeby w taką noc kazać człowiekowi jechać! Ledwo te słowa przeklęte wypadły z tej głupiej gęby, jak nie trzaśnie! Tośmy jeno przycupnęli i ja myślę sobie: żyję czy nie żyję? we mnie trzasnęło, czy nie we mnie? A tu wozem szarpie na prawo, na lewo, i w tył i w przód. Furman łeb stracił, bo i nie dziwota, kiedy tak za przeklinanie trzasnęło. Jak się opamiętał, tośmy oboje już na ziemi leżeli. O jezu, Jezu com ja przeżyła, com ja przeżyła!... Póki życia tego nie zapomnę, póki życia... Od piorunów widno jak w dzień, tośmy widzieli, że jeden koń leży martwy, zabity, a drugi zerwał się i poleciał... To i co było robić? Siedzieliśmy pod przewróconym wozem, a wokół grzało i grzało. A po tym jak nie lunie! O, wszystko na mnie mokre jeszcze teraz! No i tak my doczekali końca burzy i zlewy, no i białego dnia. Patrzymy dokoła i pożal się Boże, co to było. Droga zawalona w jedną i w drugą stronę połamanymi drzewami, że miejscami to i rozeznać jej nie można. Woda powyrywała dziury, że nie prędko przejedzie czymkolwiek. Nasz wóz połamany, orczyka brak, dyszel pęknięty. No i ten jeden koń zabity, a drugiego ani widać. Cóż było robić? Parobek poszedł w jedną stronę, a ja w drugą. Ale jakem zaczęła iść, a las przecie ten znam, jak naszą zagrodę — to widzę, że my na całkiem innej drodze byli niż potrza. Zbłądzili widać w ten ćmok, co był. Wlokłam i wlokłam te stare nogi i duszę Bogu polecałam, bo już mi się widziało, że nie zajdę... Ale Bóg łaskaw... Tyle, że już sił nie mam wcale...

— To czegoż stoicie, kobieto, na Boga — przerwał jej Wyczółkowski. — Siadajcie prędzej, bo się tu nam jeszcze wywalicie, jak te drzewa na drodze.

Podsunął jej krzesło. Usiadła ciężko.

— Czekajcie, zaraz wam dam ciepłego mleka, właśnem grzał dla „pana inżyniera".

Wyczółkowski wyszedł z izby. Chory zapytał:

— Czy powiedzieliście temu furmanowi, żeby z drugimi końmi przyjechał?

— Powiedzieć, powiedziałam. Ale jakże on przyjedzie! Żadną drogą się teraz on nie przedostanie! Zawalone drzewami i poryte wodą wszystkie!

Kiedy stara gosposia została napojona gorącym mlekiem i przyszedłszy nieco do siebie, oddaliła się, aby się przebrać, chory odezwał się:

— Wyczółkowski...

— Słucham „pana inżyniera"...

— Niech Wyczółkowski pójdzie drogą od starego dębu na lewo, na skraj lasu i niech tam Wyczółkowski czeka... Przyjdzie... na pewno przyjdzie, albo przyjedzie konno... młoda panna... Niech Wyczółkowski powie, że przychodzi od Leśnego Człowieka... będzie wiedziała, że ode mnie... niech Wyczółkowski powie, że mam nogę złamaną... że proszę, aby przyszła tu do mnie... niech Wyczółkowski na dowód prawdy pokaże jej mój sygnet... Proszę go wziąć... Niech Wyczółkowski idzie zaraz... żeby nie było za późno...

— Dobrze. Idę. Ale niech „pan inżynier" leży jak trusia.

— Dobrze, jak trusia...

Wyczółkowski wziął strzelbę, gwizdnął na Asana i wyszedł z domu.

Szedł szybko, choć nie łatwo mu to przychodziło. Las przedstawiał widok opłakany. Mnóstwo zwalonych drzew tarasowało przejście, połamane gałęzie zwieszały się, tworząc miejscami dżunglę nie do przebycia. Wzdłuż drogi wiele drzew powyrywanych było z korzeniami. Wielki stary dąb odcięty miał piorunem duży konar i świecił białą raną przez całą długość pnia. Wyczółkowskiemu serce krajało się z żalu i zgroza obejmowała na widok straszliwego zmaszczenia, jakie pozostawiła po sobie piorunowa nawałnica.

Czegoś podobnego nie widział, jak długo żyje.

Gdy znalazł się na skraju lasu, stanął na posterunku i czekał.

Minęło pół godziny, trzy kwadranse — nikt nie nadchodził.

— Że też nie zapytałem, jak długo mam tu czekać... — pomyślał i w tej samej chwili ujrzał wychodzącego z zakrętu drogi jakiegoś mężczyznę.

— To nie to — skonstatował w duchu, ale jednocześnie zaczął się bacznie przyglądać zbliżającemu się, gdyż ruchy jego i sylwetka, wydały mu się znajome.

— Czy to nie „pan doktor"... — powiedział sam do siebię, i poszedł na przód.

Po kilku chwilach przyspieszył kroku i z daleka wyciągnął ręce, wołając:

— Powitać, powitać! Co za niespodzianka!

Nadchodzący mężczyzna podbiegł do niego i serdecznie chwycił za ręce.

— Wyczółkowski! Kochany stary Wyczółkowski! Jakże się cieszę z naszego spotkania! Co słychać? Jak zdrowie?! Ho, ho, wyglądamy zawsze ostro!

— Moje uszanowanie „panu doktorowi!" Jak z nieba nam pan spada!

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Fot. Podbrożny Józef

„Święcone w Wierhomli" pow. N. Sącz. Stary to zwyczaj u Łempków, że wszystko, co mają do spożycia na Święta Wielkanocne, zanoszą do cerkwi celem poświęcenia

MARIA HEMPEL-GIERDAWA

Wariatka

ROZDZIAŁ I.

Iga z trudem przepychała się przez zatłoczony korytarz wagonu. Każdy przedział, do którego zajrzała, był szczelnie zapełniony pasażerami i bagażami. Zawsze to samo w okresie świątecznym. Od kilku lat o tyle gorzej, że modny sport narciarski znacznie powiększył ilość wyjeżdżających ze stolicy na ferie zimowe.

Iga z rezygnacją decydowała się już na jazdę w korytarzu, gdy stojący w otwartych drzwiach jednego z przedziałów mężczyzna zwrócił się do niej:

— Tutaj, proszę pani, jest jeszcze jedno miejsce...

— Dziękuję panu najuprzejmiej — odrzekła ze szczerą wdzięcznością — i weszła do przedziału.

Wolne miejsce znajdowało się koło drzwi. Na tej samej ławce siedziały dwie starsze panie i pułkownik. Wszyscy troje rozmawiali ze sobą z ożywieniem. Naprzeciwko Igi siedział chłopiec, może dwunastoletni, obok jego matka, dalej zaś było miejsce uprzejmego podróżnego, który Igę zaprosił do przedziału, a z lewej strony, pod oknem — młodej ładnej blondynki o nieco ostrych rysach. Ta ostatnia z zajęciem czytała gazetę, nie zwracając najmniejszej uwagi na otoczenie.

Iga niezmiernie lubiła podróżować. Samą jazdę pociągiem robiła jej przyjemność. W podróży nigdy się nie nudziła, czy w dzień jadąc, czy w nocy. W dzień obserwowała współpasażerów, starała się ich odgadnąć, lubiła patrzeć przez okno na szybko uciekający i coraz to nowy krajobraz; czytała wreszcie. W nocy sypiała w wagonie doskonale bez względu na pozycję, siedzącą czy leżącą. Jednostajny stukot kół usypiał ją szybko i sprowadzał miłe sny.

Tym razem podróż miała być dość krótka: Warszawa-Kraków. Mały kawałek długiej zimowej nocy.

Iga, uprzytomniwszy sobie, jak przykro było by stać w korytarzu przez kilka godzin, wygodniej wtuliła się w kąt wagonu i z wdzięcznością spojrzała na uprzejmego pana. Widocznie zrozumiał jej spojrzenie, bo jak gdyby cień uśmiechu przesunął się przez jego twarz.

A blondynka czytała, pułkownik wciąż rozmawiał ze swoimi paniami, mały chłopiec siedział bezmyślnie z gapiowatą miną.

Jeszcze przez kilka minut ludzie przepychali się przez korytarz, zaglądali do przedziału, roztarasowywali się — i pociąg ruszył. Zrazu wolno przesuwały się w oknie wagonu latarnie, palące się wzdłuż toru, po tym migały szybko, i wreszcie okno stało się czarną plamą niczym nie przecinaną.

Pociąg raz jeszcze i drugi zgrzytnął na zwrotnicach, szarpiąc wagonami i po tym już miarowym, jednostajnym stukotem wybijał pełny bieg.

Chłopiec o bladej nalanej twarzy, oparty o ścianę wagonu usypiał z otwartymi ustami. Pułkownik i jego towarzyszki uciszyli się nieco. Blondynka czytała wciąż gazetę, nie odrywając od niej oczu, a uprzejmy podróżny siedział milcząc i zdawał się obserwować jadących.

Iga wyjęła z podręcznego neseseru książkę w czarnej, płóciennej oprawie. Położyła ją obok siebie. Szukała widocznie jeszcze innej. Znalazła i zaczęła czytać. Kołysała się miarowo wraz z książką w ręku. Przewracając kartkę przelotnie spojrzała na uprzejmego sąsiada. Oczy ich znowu się spotkały i rozbiegły natychmiast. Ale instynktem kobiecym, przez tę chwilę, trwającą część sekundy, wyczuła we wzroku mężczyzny zainteresowanie jej osobą. Odczuła przyjemność w postaci iskierki elektrycznej, która szybko przez nią przeleciała. Wyprostowała się, poruszyła i — znowu spojrzała. On właśnie także spojrzał.

W tej samej chwili blondynka położyła gazetę na kolanach, przeszła spojrzeniem po wszystkich jadących, wróciła do Igi, chwilę zatrzymała się na niej, a po tym zwracając się do swego sąsiada, zapytała:

— Chcesz przejrzeć gazetę?

— Owszem — odpowiedział — bardzo chętnie.

— Ach, więc jadą razem — pomyślała Iga z pewnym niezadowoleniem. Obojętnie zaczęła czytać dalej. Ale czytała z roztargnieniem. Coś jej przeszkadzało skupić się. Coraz to odrywała oczy od książki — jakby wbrew swej woli — i spoglądała to na blondynkę, to na jej towarzysza. Blondynka patrzała w czarne okno, poza którym przelatywały teraz snopy czerwonych iskier. Jej sąsiad dosłownie „przerzucał" gazetę, wciąż ją rozkładając i składając na inną stronę, a za każdym ruchem — spoglądał na Igę.

Twarz miał pociągłą, szczupłą, nos z małym garbkiem, oczy blado niebieskie, ciemne włosy uczesane starannie w rozdział na bok, wąsy przystrzyżone.

Iga szybko, bo jeszcze gdy stał w otwartych drzwiach przedziału, zauważyła wszystkie te szczegóły. Ale to, co kazało jej wciąż od czasu do czasu spoglądać na uprzejmego podróżnego — to jego oczy. Pod nieco ciężkimi powiekami były w spojrzeniu ciepłe, miękkie, pieszczotliwe, jak gdyby wywołujące, jak gdyby zapytujące. Nawet gdy czytała, ilekroć na nią te oczy patrzały — czuła ich spojrzenie. Broniła się za każdym razem, by nie podnieść powiek, ale nie za każdym razem wola zdążyła utrzymać powieki nieruchomo. Zamknęła książkę. Nie. Nie można czytać. Położyła ją na kolanach, ręce skrzyżowała

Nikt z jadących nie rozmawiał teraz. Jednostajny stukot pociągu uderzał równo, miarowo. Za czarną szybą wciąż przelatywały snopy czerwonych iskier. Atmosfera była senna, zbyt ciepłe powietrze trochę ciężkie. Stopniowo wszyscy zaczęli drzemać, biernie poddając się kołysaniu wagonu. Blondynka zasnęła na dobre. Jedynie tylko Iga i uprzejmy podróżny nie byli senni. Ukradkiem wzajemnie się obserwowali. Byli bardzo siebie ciekawi.

Mijały minuty, kwadranse.

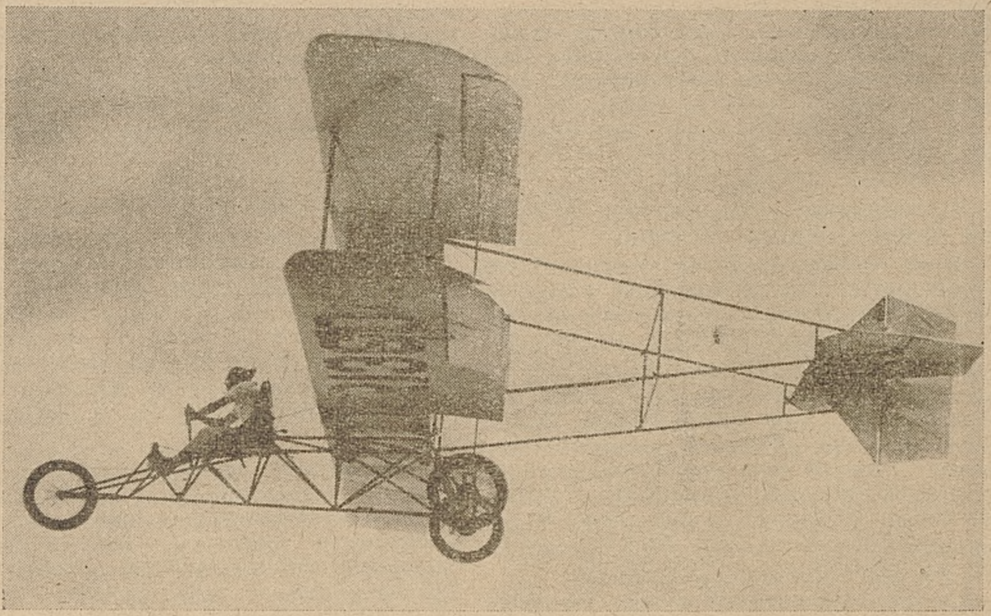
W pewnej chwili oczy tych dwojga znowu się spotkały. Tym razem żadne nie uciekło ze spojrzeniem. Patrzyli tak w siebie przez dłuższą chwilę. I raptem uśmiechnęli się oboje. Iga odruchowa wstała szybko i z książką w ręku wyszła na korytarz. Stanęła przy drzwiach, tyłem do przedziału i patrzyła w okno. Było czarnym lustrem, w którym odbijało się wnętrze przedziału.

Zdawała sobie sprawę z pewnego podniecenia, jakie się w niej zrodziło i wiedziała, że nie opuści jej ono, dopóki nie opuści wagonu ten pan. Szło od niego.

W czarnym lustrze okna mogła go teraz swobodnie obserwować. Widziała, że patrzy na nią. Wzrok jego kilka razy przesunął się po niej od stóp do głowy. Przyglądał się jej swobodnie, stała przecie tyłem. Nie przypuszczał, że widzi go w odbiciu okna. A jej nie było spieszno wrócić do przedziału. Tu było przyjemnie i miło



Pokazowe ćwiczenia balonów zaporowych



Dziwacznie wygląda „aeroplan" z roku 1910 wobec dzisiejszych olbrzymów powietrznych. Prymitywny ten samolot odbył lot z okazji wielkiego pokazu lotniczego w Niemczech

móc tak bez przeszkody patrzeć na niego. I zabawnie — bo on o tym nie wie.

Od czasu do czasu rzuca okiem na śpiącą blondynkę. Zadawała sobie pytanie, kim ona jest dla swego towarzysza. Żoną? Kochanką? Siostrą? Chyba najbardziej to ostatnie. Obrączek nie mieli na palcach a sposób odnoszenia się do siebie — raczej obojętny.

Tymczasem uprzejmy podróżny na swój sposób usnuł w myślach szereg przypuszczeń i domysłów co do Igi. Podobała mu się, zainteresowała. Żałował, że nalegał, aby jego towarzyszka jechała z nim razem. Szkoda — gdyby był sam — pod byle pretekstem nawiązałby rozmowę z tą miłą osóbką. Skończy się wspólna podróż, zginie mu po tym z oczu. Może jej przecie nigdy więcej nie spotkać.

Tego rodzaju myśli przesuwały mu się przez głowę, gdy się tak bez przerwy przyglądał Idze. Raptem spojrzał na leżącą na ławce książkę. Ogarnęła go nieprzeparta chęć zobaczenia, co ona czyta. Rzucił wzrokiem na wciąż stojącą nieruchomo Igę i bez wahania sięgnął po książkę. Otworzył i wyraźne zdumienie odbiło się na jego twarzy: Nowy Testament. Żaden inny tytuł nie byłby go więcej zdziwił.

Iga widziała w prowizorycznym lustrze ten manewr. Odwróciła się szybko, wesoło uśmiechnięta. Pan zmieszał się, zarumienił. Trzymał bezradnie książkę w rękach.

— To jest niedyskrecja, proszę pana... — rzekła półgłosem z żartobliwym wyrzutem i wyciągnęła rękę po książkę.

Podniósł się zwracając książkę rzekł:

— Tak, oczywiście... Najmocniej przepraszam. Byłem jednak tak ciekawy...

— Widziałam to... — wskazała palcem na okno korytarza. Spojrzał i zobaczył odbicie wnętrza przedziału. Zmieszał się jeszcze bardziej, a Iga roześmiała się cicho, potem prędko odwróciła się, usiadła, oparła głowę w rogu wagonu, zamknęła powieki, jak gdyby chciała natychmiast usnąć.

W ten sposób wyraźnie przecięła rozmowę i uprzejmy podróżny zmuszony był połknąć słowa, które już płynęły mu na usta.

Usiadł. Był bardzo zły na siebie. Tak jakoś wszystko to wyszło niezręcznie. Zachował się jak sztubak. Pewno pomyślała



Stanowisko strzelca pokładowego nowoczesnego samolotu bombardującego mieści się w oszklonej kabinie. Na zdjęciu widzimy angielskiego ministra lotnictwa, s'r Kingsley Wood'a w chwili zwiedzania samolotu



Psia idylla

sobie o nim, że jest głupkiem. Odwrócił głowę ku oknu i raptem spostrzegł, że blondynka ma oczy otwarte.

— Nie spisz?... — zapytał ze zdumieniem.

— Nie. Nie śpię.

— Zdawało mi się, że spałaś tak mocno.

— Nie, nie spałam wcale...

— Ach, tak...

— Tak.

Spojrzał przelotnie na Igę. Zdawało mu się, że się zaczerwieniła. — Słyszała zapewne... nie mogła przecie tak pewnie.. nie mogła przecie tak natychmiast usnąć... — pomyślał.

— Blondynka odezwała się znowu, patrząc w okno:

— Szalenie lubię, kiedy tak iskry czerwone lecą... mogło by się zdawać, że jedziemy w ogniu... Tobie — zwróciła się do towarzysza — zdaje się jest bardzo gorąco... masz wypieki...

— Tak. Tutaj rzeczywiście jest gorąco... Wstał i spojrzał na regulator ciepła.

— Naturalnie: nastawione jest na gorąco. Zamknę.

Przesunął regulator i usiadł.

Iga, udając śpiącą, myślała:

— Nie, to nie siostra...

I nie czuła sympatii do blondynki.

ROZDZIAŁ II.

Trzy dni świąteczne, spędzone u przyjaciół w Krakowie, minęły jak jedna chwila. Iga znalazła się znowu w swym mieszkaniu w Warszawie.

Właśnie pozostawiwszy walizkę w przedpokoju, nie zdejmując futra, weszła do wnętrza. Robiła tak zawsze ilekroć wracała z podróży do domu. Rozglądała się dokoła z przyjemnością, jak gdyby witała się ze wszystkimi przedmiotami — przyjaciółmi. Rzuciła okiem na fotografie, obrazy na ścianach, kwiaty — i dopiero wtedy zdjęła futro i kapelusz.

Mieszkanie jej znajdowało się w śródmieściu w nowoczesnym domu; dwa duże pokoje o szerokich ogromnych oknach, pełne światła i słońca, mała kuchenka, wspaniała łazienka i obszerny przedpokój. Proste z jasnego drzewa meble niewiele zajmowały miejsca, przestrzeni było dużo. Barwne kilimy tworzyły żywe jaskrawe plamy na jasnej posadzce. Takim samym kilimem przykryty był tapczan. Długie żardinierki przy oknach pełne były świeżej zieleni. Na jasnych ścianach kilka ładnych obrazów.

Widno, jasno, słonecznie, przestronnie, wygodnie.

Iga puściła wodę do wanny, poczem otworzyła walizkę i zwolna rozpakowywała rzeczy. Zanim kąpiel była gotowa, walizka została sprzątnięta, wszystko rozlokowane na właściwe miejsce. Pismo święte, z którym, od dłuższego już czasu Iga nie rozstawała się nigdy, wróciło na okrągły stolik, stojący kolo tapczana. Zanim je położyła, chwilę trzymała w ręku, zamyśliwszy się głęboko. Ale nie o jego treści. Żywo stanął jej przed oczami uprzejmy podróżny w chwili, gdy w wagonie popełnił niedyskrecję.

Iga uśmiechnęła się jakoby z żalem.

Nie wiedziała przecież ani kim on jest, ani jak się nazywa, ani gdzie mieszka, ani co robi.

Wiedziała jedynie tylko to, że tak jak ona o nim, tak samo on o niej myśli od czasu owej pamiętnej podróży, podczas której chociaż nic właściwie specjalnego nie zaszło — to jednak...

Iga wierzyła, że myśl ludzka, będąc czymś zupełnie realnym, promieniuje z człowieka i płynie w nieskończoną przestrzeń na niezbadanych jeszcze jakichś falach. Mózg ludzki to stacja nadawcza i jednocześnie odbiorcza. Jeśli myśl jest intensywna — emanuje mocno i natychmiast odebrana jest przez właściwą a wrażliwą stację odbiorczą. Ileż razy zdarza się, że nawet przy największym zajęciu się jakimś tematem, bez żadnej przyczyny wewnętrznej czy też zewnętrznej, raptem staje w wyobraźni czyjaś postać, tak wyraźnie i tak nagle, jak gdyby osoba ta weszła do pokoju. Jest to niezawodnie emanacja jej myśli o nas, którą nasz mózg, jeśli jest wrażliwą stacją odbiorczą — uchwycił.

Kilka razy, w ciągu krótkiego pobytu w Krakowie, zdarzyło się Idze, w chwilach kiedy bardzo daleko była od wrażeń z podróży, że raptem, ni stąd ni zowąd uprzejmy towarzysz podróży stawał w jej wyobraźni, jak gdyby patrzała na niego w rzeczywistości. Dobrze zwłaszcza wi-



Jedno z ostatnich zdjęć artystki filmowej Anny Ondra w towarzystwie jej męża, boksera Maksa Schmelinga

działa wyraz jego oczu. Uśmiechnęła się wtedy. Wiedziała, że w tym właśnie momencie on myśli o niej.

Położyła książkę na stoliku i poszła do łazienki. Gdy wróciła stamtąd — świeża i wypoczęta — w miękkim szlafroku położyła się na tapczanie. Była już godzina piąta po południu. Iga nie zamierzała nigdzie wychodzić.

Wzięła książkę do ręki — „Historia Świata" Wellsa. Zaledwie jednak przeczytała parę kartek, usłyszała dzwonek w przedpokoju.

— Któż to może być?... — szepnęła niechętnie i poszła otworzyć.

Z wielkiem zdziwieniem ujrzała przed sobą dawnego, sprzed dziesięciu lat, kolegę z uniwersytetu, Franciszka Obłockiego, zwanego przez kolegów „Franek" albo „Obłok".

— Dzień dobry pani! — zawołał radośnie i jednocześnie z pewnym zakłopotaniem. — Dobrze trafiłem: to pani tutaj mieszka.

— Dzień dobry. Proszę, niech pan wejdzie. Co za rzadki gość! Skąd się pan wziął w Warszawie? Jakim sposobem, czy od kogo dowiedział się pan, że mieszkam w stolicy i jaki jest mój adres? Przecie straciliśmy się z oczu od dziesięciu lat...

— Ślepy traf zrządził, że panią znalazłem — mówił zdejmując palto i co chwila nerwowo poprawiając binokle na nosie. Szukałem mego dawnego znajomego, który tutaj gdzieś mieszka, w jednym z tych domów. Szukając w bramie jego nazwiska w spisie lokatorów — trafiłem na nazwisko: Jadwiga Pohoredzka. Zapomniałem o znajomym i prędko pobiegłem przekonać się, czy to pani, czy też tylko jej imienniczka. Bardzo się cieszę, że to pani i błogosławię ten cudowny ślepy traf, który mi pozwolił panią odnaleźć! Tyle lat przecie...

Weszli do pokoju. Wzajemnie przyglądali się sobie z lustrującą ciekawością ludzi, którzy się dawno nie widzieli.

— Nic się pani nie zmieniła... Przede wszystkiem oczy te same. Po samych tych oczach poznałbym panią nawet za sto lat!

— No! — roześmiała się — Za sto lat, to na pewno i oczy byłyby inne!

— A ja się zmieniłem, prawda?

— Tak, pan się zmienił bardzo... Ale poznałam pana od razu.

— Posiwiałem, utyłem...

— Tak, tak — potwierdziła, a pomyślała: i bardzo zbrzydł, ta twarz czerwona, okrągła z wyrzutami na czole...

— Niechże pan siada — ciągnęła dalej. — To rzeczywiście zabawny zbieg okoliczności to nasze spotkanie! Proszę mi opowiedzieć co się z panem działo przez cały ten długi okres czasu. Podobno stale przebywa pan w Paryżu.

— Tak, a obecnie jestem tu zaledwie od tygodnia. Przyjechałem uregulować różne sprawy materialne i wracam znowu do Paryża. Ale co się z panią dzieje? Jakim cudem nie wyszła pani za mąż? Pani, która zawsze była otoczona, pamiętam przecie jak tam w Liege — och, dobre to były czasy! — wszyscy koledzy potracili dla pani głowy. Jakże to być może, że pani żadnego nie uszczęśliwiła?

Iga uśmiechnęła się i za całą odpowiedź rozłożyła ręce. A po chwili:

— Odkąd wróciłam do kraju pracuję w Banku Rolnym jak pan widzi mam swoje mieszkanie — i to wszystko. Opowiadanie jest bardzo krótkie.

— A pani siostra?

— To smutna historia. Kiedy byłam na studiach, siostra moja, mała jeszcze wtedy, wychowywała się u ciotki. Właśnie gdy wróciłam do kraju ciotka nasza umarła i siostrę zabrałam do siebie. Była wtedy w czwartej klasie. Wychowywałam ją i kształciłam sama. Była najlepszym na świecie dzieckiem i była śliczna, naprawdę śliczna. Gdy skończyła ósmą klasę i doskonale złożyła maturę, prawie natychmiast wyszła za mąż za majora artylerii, przezacnego człowieka. Cieszyłam się jej szczęściem i wszystko układało się cudownie, gdy w rok po ślubie zaziębiła się, zapalenie płuc, i po tygodniu choroby umarła.

— To okropne... — szepnął Obłocki ze współczuciem. — Musiał to być dla pani bardzo bolesny cios.

— Tak. Niełatwo się z tym pogodziłam.

Iga zamyśliła się chwilę smutno. W pamięci stanął jej obraz pogrzebu siostry — i drugiego równie dla niej bolesnego, który miał miejsce w kilka dni po pierwszym.

Otrząsnęła się jednak szybko i przerwała krótką chwilę milczenia:

— No tak... to o mnie pan wie już wszystko. Proszę mi teraz powiedzieć coś o sobie. Co pan robi w Paryżu?

— Pracuję piórem w Akcji Katolickiej.

— Jakto w Akcji Katolickiej?! Przecie pan był skrajnym ateuszem!

— Tak, ale dużo się we mnie od tej pory zmieniło: I jestem bardzo szczęśliwy, że się zmieniło. Jestem głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem.

— Ach tak?... — Iga szeroko otworzyła oczy ze zdumienia.

— Tak. Codziennie przystępuję do Komunii świętej.

— Bardzo mnie to interesuje... Jak pan do tego doszedł?

— Życie mnie do tego doprowadziło. Zrozumiałem, że jedyną prawdą jest Bóg, a jedyną drogą życia — służba w szeregach Jego wiernych.

— I jest pan szczęśliwy?

— Tak, tylko ciąży mi samotność...

— A do kraju panu nie tęskno?

— Wcale! Francja jest moją ojczyzną. Polski nie cierpię, naród polski jest narodem kretynów, kraj szary, bez uroku... Wtedy, przed dziesięciu laty, kiedy pani odrzuciła moją prośbę o rękę, zerwała się ostatnia nić, łącząca mnie z Polską. Wyjechałem z tym, że nigdy tu nie wrócę. Doszły mnie tam wieści, że pani wyszła za mąż. Widzę teraz, że mylne. Obecnie pierwszy raz przyjechałem tutaj z konieczności, ale nie żałuję — bo jestem u pani.

Siedział trochę niezręcznie, nie na całym krześle. Dłonie splecione trzymał na kolanach i przyglądał się Jadwidze. Ona z wewnętrznym zdziwieniem konstatowała cały szereg różnic, jakie zaszły w tym człowieku. Został jej w pamięci jako dość przystojny młody brunet, zawsze dobrze ubrany, rozmowny i towarzyski. Teraz siedział przed nią starszy, nieco otyły, siwy pan, z czerwonemi plamami na twarzy, niezręczny w zachowaniu i niestarannie ubrany.

— Czy długo pozostanie pan w Polsce? — zapytała po chwili.

— Miałem zamiar być tu tylko tyle czasu, ile tego wymagać będą moje interesy. Ale obecnie, myślę... że zostanę dłużej... Może parę tygodni...

— W jakim towarzystwie obraca się pan w Paryżu, czy utrzymuje pan kontakt z kolonią polską?

(Ciąg dalszy w następnym numerze)



Jarmark w Klajpedzie.
Na zdjęciu sprzedawca drewnianych sabotów

RAJ KOBIET

Świąteczne powroty

Przez wszystkie codzienne dni roku zajęci jesteśmy pracą zarobkową, troskami osobistymi zaprzątamy sobie czas i głowę, działamy, odpoczywamy, szukamy rozrywek, udzielamy się w większym czy mniejszym stopniu życiu towarzyskiemu. Jesteśmy ruchliwi, czynni i... wystarczymy sobie.

Gonitwa za dobrobytem, za ustabilizowaniem najbardziej osobistego życia porywa nas w różne miejscowości i środowiska, a te z kolei wplatają w swój zbiorowy nurt podobnych wysiłków i dążeń.

I płyniemy zgodną falą, wciąż naprzód i naprzód bez oglądania się za siebie, bez ochoty powrotu i bez wspomnień. Oddalamy się coraz bardziej przestrzenią i uczuciem od gniazd rodzinnych, spojrzeń rodzicielskich i ich kierowniczej ręki.

Wyuczyliśmy się już wystarczyć sobie, żyć sobą, swoimi pragnieniami — iść własną mniej lub więcej prostą ścieżką. Szeroki gościniec rodzinnego życia porzuciliśmy już dawno, w miarę upływającego czasu przestaliśmy odczuwać jego celowość i wygodę. Stłoczeni na własnych ścieżynkach i dróżkach zapatrzyliśmy się w nie, zagłuszyli i ścieśnili samolubnie, że ani nam już wierzyć, iż można by porzucić ich wąskość dla przestrzennych, starych rodzinnych gościńców, wysadzanych owocowymi drzewkami oznaczonych pobielonymi kamieniami z czarnymi cyframi metrów i kilometrów.

Po co nam drogi wysadzane gruszami, wiśniami i czereśnią? Po co kamienie mierzące przebyte przestrzenie?

W naszym nerwowym dążeniu za ułudą osobistego szczęścia, w naszym młodzieńczym rozrzutnym pośpiechu nie starczyło by czasu na zerwanie słodkiego owocu z przydrożnego drzewa, a liczyć przebywanych przestrzeni ani byśmy mogli, ani nawet chcieli. Młodość nie liczy ponoszonych wysiłków i nie mierzy przebytej drogi. Młodość jest hojną, lekkomyślna i entuzjastyczna.

Entuzjazm swój wkłada we wszystko co nowe, co trudne, co niezwykłe. Jakżeż mogłyby jej imponować stare poglądy rodziców, przydeptane pantofle pocziwej niani i jej niekończące się nigdy „zdrowaśki", skandowane starczym półgłosem w rytm migających iglic, wiecznie wyczarowujących jakieś miękkie szale, zimowe rękawiczki i narciarskie skarpety.

Gdy byliśmy jeszcze mali, ciekawie obserwowaliśmy płynny rytm tych samych iglic i pojąć nie mogliśmy, że takie cienkie, metalowe pręty mogą wykonać rzecz tak piękną i nam osobiście pożyteczną, jak ubranka wełniane na saneczkowe „zjazdy". Zaś „zdrowaśki" niani miały w sobie coś tak niezmiernie serdecznego, ciepłego i opiekuńczego, jak np. wyblakłe, tkliwe oczy kochanej staruszki.

A poglądy rodziców były dla nas wówczas jeszcze mocno ważne, niekiedy niezrozumiałe swą powagą i głębią. Niezrozumiałe już wówczas i niezrozumiałe teraz. Kiedyż wobec tego będą zrozumiałe? I czy w ogóle będą?

Będą, na pewno będą!

Wszystkim nam może zdarzyć się, że wobec nadchodzących świąt staniemy nagle nieufni i bezradni. Na pozór wspólny nurt naszego środowiska może nagle natrafić na wir, który zakotłuje wartką wodą, spieni ją, stłamci i rzuci na nieprzewidzianą zaporę. W konsekwencji splecione ścieżynki naszego życia rozstrzelą się nagle, rozbiegną i tragicznie zagubią.

Co uczynić mamy wówczas z naszą egoistyczną ścieżynką i z sobą? Nerwowo i wręcz rozpaczliwie szukamy w pamięci miejsca, w którym słodko moglibyśmy przeżyć okres Świąt, co wyłamują się ze zwykłego koła dni roboczych, codziennych i są same w sobie całością.

Są tą niespodziewaną zaporą, o którą potknął się i rozbił zwykle tak wartki i układny bieg naprzód.

Znajomi, którzy na codzień zwykli byli dotrzymywać nam towarzystwa, dzielić pracę i rozrywki, wyjechali lub zamknęli się w gronie najbliższych, praca ustała, życie miejskie przycichło, nasza gospodyni zapragnęła mieć chwilę wyłącznie dla siebie. Nieoczekiwanie znaleźliśmy się w próżni. I to tym przykrzejszej, im bardziej wierzyliśmy, że stoimy na pewnym, niewzruszonym gruncie.

Wówczas to przerażony perspektywą samotności egoizm, uderza na alarm, budząc przycichłe od dawna moce przywiązania do ciepłego rodzinnego gniazda.

Wnet dołącza się przybladła tęsknota i zrazu mała, maleńka, a potem coraz wzrastająca radość. Cieszymy się, że ujrzymy znowu posiwiałych staruszków, którzy troskliwie kierowali nami przez długie lata, mieli niezrozumiałe, dziwne poglądy i zbożnie pielęgnowali owocowe drzewka przy prowadzącej do ich chaty drodze.

Jak mocno bije nam serce, gdy z sykiem i gwizdem wiozący nas pociąg wjeżdża na małą, cichą stacyjkę... Nic się tam nie zmieniło, ten sam dyżurny w czerwonej czapce wychodzi na peron, z tą samą, flegmą daje znak do odjazdu i wolno, nie spiesząc się wchodzi do stacyjnego biura.

Rozglądamy się ciekawie. Konie czekają u podjazdu, niecierpliwie przebierając nogami. Udziela nam się ta niecierpliwość i jak przez długie miesiące niespieszno nam było do rodziny, do starego domu, tak teraz radzibyśmy polecieć tam na skrzydłach.

— Jedziemy do domu, do domu, do domu — turkocą koła po stacyjnym bruku; do domu do domu — wpadają w miękką, rozmokłą wiejską drogę. Do domu — biją radośnie nasze serca; do domu — rozprężają się nawykłe do ostrego, nerwowego pośpiechu członki.

I spływa na nas nagle wielkie ukojenie i ciepło. To samo, które płynęło od półgłośnych „zdrowasiek", skandowanych w rytm migających pracowicie iglic, którym promieniały wyblakłe oczy niani. Jedziemy do domu wraz ze swą własną wąską ścieżką. Wiedziemy ją na szeroki, dostojny i celowy gościniec, na którym prężą się wzbierającymi sokami owocowe drzewa i bieleją kamienie z czarnymi cyframi metrów i kilometrów. Kamienie te liczą nasze entuzjastyczne wysiłki i mierzą przebytą drogę powrotu. Wielkiego Świątecznego powrotu!

Mirania Galińska.

Legendy o pisankach

„Jak małe kurczę wychodzi z jajka, tak człowiek wyjdzie z grobu swego, aby zmartwychwstać..."

Żydzi, na znak wiary w słuszność tego powiedzenia, na pogrzebach jedli jaja. Zwyczaj ten rozpowszechnił się również i u pierwszych chrześcijan. Korzystając z pozwolenia Kościoła Katolickiego barwili jaja na czerwony kolor, dając im symboliczne znaczenie męki, śmierci i zmartwychwstania Chrystusa. W ten sposób



powstały pierwsze pisanki. Zwyczaj ten przyjął się wkrótce na całym świecie; za przykładem pierwszych chrześcijan, którzy podczas „agap", czyli „uczt miłości" dawali, na znak radości, swym współwyznawcom kolorowe jaja. Teraz również lud przygotowuje jaja, jako podarunki, a wszyscy chrześcijanie dzielą się święconym jajkiem. Pisanki są bardzo drogie sercu każdego wieśniaka, gdyż wśród ludu krąży o nich wiele ładnych, natury religijnej legend. Podania te oparte są przeważnie na scenach męki Zbawiciela. Oto kilka z nich:

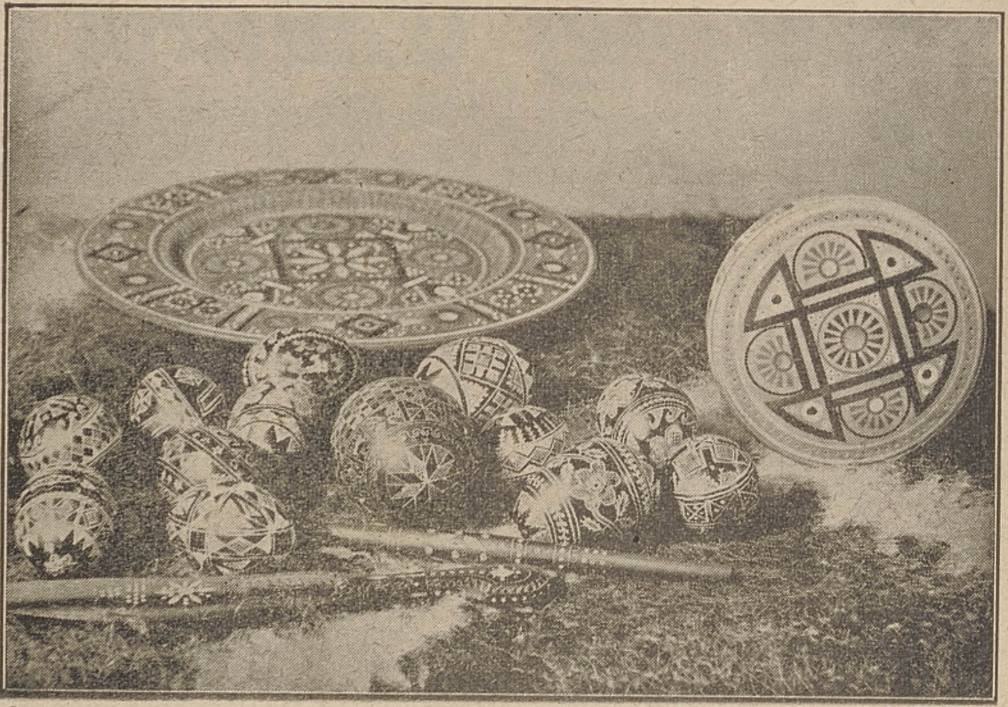
Aby odwrócić uwagę żydów od Pana Jezusa święci przygotowali dla nich pisanki; podstęp ten jednak się nie udał; w chwili, gdy żydzi ubiczowali Pana Jezusa, pisanki stały się czerwone, jak krew, którą wylał Chrystus za świat.

Aby Piłat zechciał pozwolić na ukrzyżowanie Chrystusa, żydzi barwnymi pisankami pozyskali sympatię dzieci Piłata, które następnie namówiły go do wyrażenia zgody w sprawie śmierci Zbawiciela. Na zmianę postanowienia Piłata chciała wpłynąć i Maria Panna; toteż przyniosła mu koszyk pełen pięknych pisanek. Na wieść o zatwierdzeniu wyroku śmierci, wypadł Jej koszyk z rąk, a jajka rozsypały się po całej ziemi.

Kamienie, które żydzi rzucali na Chrystusa podczas Jego drogi na górę krzyżową, zamieniły się w purpurowe pisanki.

Gdy Szymon Cyrenejczyk pomagał nieść Chrystusowi krzyż, powrócił po pozostawiony u znajomych koszyk. Ze zdumieniem zauważył, że jaja w jego koszyku stały się barwy czerwonej. Nie sprzedał więc ich tylko ofiarował znajomym. Za jaja te, chrześcijanie wykupili od żołnierzy ciało Zbawiciela.

Maria Magdalena, dowiedziawszy się o zmartwychwstaniu Chrystusa, powróciła do domu, gdzie spostrzegła, że jajka, które pozostawiła



w koszyku stały się barwy czerwonej. Na znak radości, rozdała je apostołom.

Zwyczaj malowania pisanek nie zginie długo wśród ludu, mimo, że zanika on stopniowo w Europie, zwłaszcza od XVIII wieku. Wieśniacy bowiem wierzą, że z chwilą, gdy przestaną malować jaja, nastąpi koniec świata; umrą bowiem wtedy czterej żydzi, którzy żyją dotąd w Ziemi Świętej, pokutując za to, że umęczyli Pana Jezusa. Wieśniacy, spełniając obowiązek religijny, stwarzają jednocześnie rodzaj sztuki malarskiej, krasząc jajka artystycznymi wzorami.



Kurczęca inwazja

DOBRA gospodyni

Jadłospis świąteczny

1. Skromny

Pierwsze święto

Bigos świąteczny
Barszcz w filiżankach
Szynka na zimno, garnirowana jajami na twardo
Sałatka z jarzyn
Ciasto — herbata

Drugie święto

Zupa pomidorowa z grzankami
Kiełbasa biała na gorąco — sos rumiany cebulowy
Kartofelki przysmażone
Sałatka z jabłek i pomarańcz

2. Dostatni

Pierwsze święto

Nalewki domowe
Jaja na twardo
Zimne mięsa w galarecie
Sos majonezowy, albo tatarski
Indyk na zimno
Zielona sałata — borówki
Mazurki
Wino węgierskie
Czarna kawa, likiery

Drugie święto

Szynka cielęca na zimno
Sałatka z jarzyn
Barszcz albo rosół w filiżankach
Paluszki z sera
Prosię pieczone — farsz z rodzynkami
Sałata zielona
Kompot
Mazurki.

HIGIENA i zdrowie

W walce z alkoholizmem

W pierwszej połowie lutego, w całej Polsce były obchodzone „dni trzeźwości"; poświęcone uświadamianiu szerokich mas o zgubnych skutkach pijaństwa i zwyradniającym wpływie tegoż na potomstwo.

W Warszawie „Two Trzeźwości" od szeregu lat propaguje ideę wstrzemięźliwości od alkoholu, zakładając również i na prowincji kółka i wydając wybornie prowadzony miesięcznik „Trzeźwość" pod redakcją wielce zasłużonego działacza na tym polu redaktora Jana Szymańskiego. „Trzeźwość" powinna być we wszystkich kulturalnych, społecznych i zawodowych stowarzyszeniach prenumerowana i rozpowszechniana; daje bowiem obraz tego, co się dzieje u nas — i za granicą — w walce z tym nałogiem. Co tydzień w towarzystwie „Trzeźwość" — w Warszawie odbywają się towarzysko-odczytowe zebrania, mające na celu dawanie bezpłatnej, kulturalnej rozrywki uczestnikom (Obożna 4).

W stolicy istnieją przychodnie przeciwalkoholowe: na Puławskiej 91 i na Czerniakowskiej 168; tam odbywa się leczenie bezpłatne nieszczęśliwych ofiar nałogu i propaganda o szkodliwości trunków. Trujący i zwyradniający wpływ alkoholu poraża najbardziej delikatną tkankę organizmu człowieka: centralny i obwodowy system nerwowy: mózg i nerwy obwodowe. Spustoszenia powstałe są już niemożliwe do usunięcia, lecz możliwe do powstrzymania w dalszych szkodach. To już wymaga leczenia szpitalnego i psychoterapii. Polska posiada tymczasem dwa państwowe sanatoria dla tego rodzaju cięższych chorób: jedno dla mężczyzn w Świacku pod Grodnem, poczta Sopóćkinie, drugie — dla kobiet w Gościejewie w Wielkopolsce — st. kol. Rogoźno. W obu sanatoriach przeprowadza się leczenie odwykowe od alkoholu i innych narkomanii (morfina, kofeina, nikotyna etc), niemniej szkodliwych na układ nerwowy człowieka. Koszt pobytu w tych uzdrowiskach nie jest obliczony na zysk i waha się od 5 zł do 10 zł na dobę; stosowane jest nowoczesne leczenie i hydroterapia, elektroterapia i światłolecznictwo, diatermia, kąpiele słoneczne, sport, leczenie pracą (warsztaty rzemieślnicze ogrodnictwo i ferma rolna na przestrzeni 100 ha — w Świacku). Tu umożliwia się każdemu pacjentowi wybór zajęcia w zakresie jego uzdolnienia. Oba zakłady są klimatycznie w zdrowych i malowniczych miejscowościach położonych i stojących na wysokim poziomie leczniczym.

Wódz nowoczesnych Niemiec propaguje na szeroką miarę ideę trzeźwości, widząc w niej wielką siłę dla potęgi państwa. Polska, będąc o połowę mniejsza od Niemiec, byłaby niezwyciężoną i coraz większą potęgą, gdybyśmy się zdobyli na zwalczenie osłabiającego ducha i charakteru nałogu, niestety, bardzo rozpowszechnionego. Osobiście jestem za ustawą powszechnie w kraju obowiązującej prohibicji — i utrudnianie praktyczne w nabywaniu tej trucizny masom; zakaz sprzedaży w młodzieży i wyeliminowanie t. zw. „setek". Pozorny dochód, płynący z tego źródła dla państwa — unicestwia się rozchodem z wydatków na bezcenne marnowanie materiału ludzkiego, na utrzymywanie szpitali, więzień i przytułków dla inwalidów i degeneratów. Ostateczny bilans z tego źródła na pewno jest ujemny.

Niech każdy z nas w kołach swych znajomych i przyjaciół, a wreszcie wśród młodzieży propaguje ideę trzeźwości. Mamy już dziś wyborne owocowe napoje, nieszkodliwe dla tężyzny ducha i ciała, które z powodzeniem mogą nam zastąpić alkohol.

Precz z trucizną mózgu, charakteru i ciała! Miejsce alkoholu jest w przemyśle i w aptekach — i toteż tylko w małych dawkach.

Dr. J. Śmiarowska.

ŚWIAT i ŻYCIE

„Roboty" zamiast ludzi

Ubiegłego roku zanotowano w dziedzinie badań stratosferycznych pewien na pozór drobny wypadek, który nie znalazł nawet echa w prasie codziennej i nie dotarł do wiadomości szerokiego ogółu. Wypuszczona przez jedno z obserwatoriów europejskich „radiosonda" pobiła rekord lotów stratosferycznych, wznosząc się na wysokość 23 kilometrów.

Cóż to jest ta „radio-sonda"?

Jest to mały aparacik z miedzi i stali, obdarzony „mózgiem" elektrycznym, zdolnym do dokładnego odczytywania odnośnych cyfr za pośrednictwem nadawczej stacji radiowej. A zatem jeszcze jeden „robot" z rosnącej nieustannie armii mechanicznych ludzi, robiących coraz większą konkurencję ludziom z krwi i kości.

Jeszcze jeden robót, który dzięki balonowi, pękającemu w odpowiednim momencie, wznosi się tak wysoko, jak wysoko nie wzniósł sie jeszcze żaden człowiek a następnie dzięki automatycznemu spadochronowi, spadł na ziemię zręczniej od najzręczniejszego skoczka spadochronowego.

A obok tego robota rosną inne, groźniejsze roboty. Oto dzięki wynalezieniu „oka elektrycznego", wybudowano już roboty, obdarzone wzrokiem i zdolne ścigać człowieka nawet w ciemnościach, skierować na niego karabin maszynowy i zasypać gradem kul.

Inny wynalazek konstruktorów automatów: „pamięć automatyczna" stwarza możliwość wybudowania robotów — żołnierzy, bohaterskich i nieubłaganych, zdolnych kierować samolotem, tankiem lub pancernym samochodem. Wynalazek „pamięci automatycznej" pozwala nauczyć robota całego szeregu następujących po sobie skomplikowanych działań, które robot wykonuje następnie z idealną precyzją.

Ostatnio na podwórcu Instytutu Francuskiego wynalazca Dussaud zademonstrował manewry samochodu, prowadzonego przez kierowcę — robota. Samochód ów, kierowany jedynie przez robota, wykonał na podwórku szereg trudnych ewolucyj, brał wiraże, zatrzymywał się przed ścianami, trąbił na przechodniów, zmieniał szybkość, jeździł tyłem i t. p.

Gdy po tej demonstracji wynalazca otworzył „czaszkę" robota-szofera, oczom uczonych, asystujących przy tym, ukazał się niezwykle prosty mechanizm. Mózg stanowiła taśma podziurkowanego papieru, przesuwająca się między kontaktami elektrycznymi. Taśma ta przypomina taśmy nut w katarynkach i w automatycznych pianinach.

W jakiś czas potem ten sam wynalazca zademonstrował na jeziorze genewskim działanie automatycznego okrętu, obdarzonego nie tylko pamięcią, ale i inicjatywą. Gdy na drodze tego okrętu umieszczono normalny statek, automatyczny okręt zatrzymał się, okrążył przeszkodę i ruszał dalej w początkowo wytkniętym kierunku. Osiągnięte to zostało przez umieszczenie w „mózgu" okrętu szeregu uzupełniających „pamięci".

Na zasadzie osiągniętych dotychczas wyników można przewidzieć szereg nowych aparatów automatycznych które w bliższej czy dalszej przyszłości zostaną skonstruowane.

Będą między nimi: błyskawiczne tanki, kierowane przez robotów, obdarzonych pamięcią, widzących elektrycznymi oczyma; torpedy-roboty, zdolne nauczyć się na pamięć drogi do portów nieprzyjacielskich i wysadzające w powietrze zakotwiczone w portach statki; lokomotywy-roboty i tramwaje-roboty, jeżdżące i zatrzymujące się na stacjach bez ludzkiej pomocy; auta-roboty, pędzące z szybkością 200 km na godzinę po wstęgach autostrad, stosujące się w drodze do oświetlonych sygnałów i automatycznie zatrzymujące się przed każdą przeszkodą na drodze; podwodne łodzie-roboty, zjeżdżające na głębokość niedostępną dla ludzi i dokonywujące tam zdjęć fotograficznych; wreszcie samoloty-roboty.

Dotychczas dokonano już przecież szereg lotów z samolotami bez obsługi. Gdyby udało się te samoloty bez obsługi obdarzyć automatyczną pamięcią, przyszła wojna lotnicza otrzymałaby broń której niszczące działanie przekracza granice ludzkiej wyobraźni.

Wobec tych wszystkich wynalazków — powiedział pewien dowcipniś — jest już najwyższy czas pomyśleć o anulowaniu wynalazku prochu. Ale nauka podobna jest do puszki Pandory: plagi, które wydostały się z niej na zewnątrz, nie dadzą się już wycofać z obiegu.

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. I. L. — Szczerbięcin. Przyjęliśmy do wiadomości uwagi Pani i poczuwamy się do obowiązku wyjaśnienia, że zmiany w tygodniku „Moje Powieści" przeprowadzamy zawsze na skutek wpływających życzeń ogółu prenumeratorów i czytelników tegoż pisma. Większość wyraża życzenie urozmaicania tygodnika ilustracjami artykułami na tematy aktualne, nowelami itp.

Niemniej postaramy się pójść po linii życzeń Pani i jej znajomych, ale oczywiście nie bezkrytycznie. Pozdrawiamy serdecznie!

W wielką sobotę

NOWELA

Zosia czuła się po śmierci matki opuszczoną i nieszczęśliwą. Nikt już do niej nie mówił: „Zosieńko, moje drogie dziecko", nikt się nie troszczył o to, aby była ciepło ubraną i sytą, nikt nie pytał dokąd idzie i nie wyglądał niecierpliwie jej powrotu. Do tego czasu nie miała pojęcia o tym, że można być tak osamotnioną, nikomu niepotrzebną i, co najgorsze, przez nikogo nie kochaną, jak była teraz. Uczyła się dopiero przystosowywać do tej nowej roli i zawsze usuwać na bok, stała się nieśmiałą, milczącą, a dawna żywiołowa wesołość, która dodawała jej tyle uroku, znikła bezpowrotnie. I materialnie było Zosi coraz gorzej. Choroba i śmierć matki nie tylko pochłonęły drobne domowe oszczędności, ale i wpędziły ją w długi, które później trudno było spłacać skromną zaś posadę buchalterki i kasjerki w wielkim magazynie konfekcji damskiej, jaką zajmowała od lat wielu, jeszcze za życia matki miała wypowiedzianą, chora jednak nie dowiedziała się o tym. W miesiąc niespełna po jej śmierci Zosia była już bez posady, — właściciel sklepu tego, człowiek dobry i względny, nękany nadmiernie podatkami i kryzysem, ewentualnie przerażającym zmniejszeniem się obrotu, interes zlikwidował, personel zwolnił i dodatkowo jeszcze wynagrodził, żegnając z żalem swoich zacnych współpracowników. Zosia czympredzej popłaciła co najpilniejsze długi, nie zostawiając sobie prawie nic na życie, — przez czas jakiś pobierała jeszcze zasiłki z ZUP'u, — wkrótce i to się skończyło, pozostał jej tylko mały pokoik z mniejszą jeszcze kuchenką, gdzie mieszkały z matką od śmierci ojca, a w nim trochę mebli i pamiątek lepszych czasów, kiedy żył i pracował drogi ich żywiciel.

— Był on technikiem w wielkim zakładzie przemysłowym i jeden z pierwszych padł ofiarą kryzysu, zredukowany niespodzianie, dostał ataku serca i życiem przypłacił utratę pracy. Teraz Zosia, pragnąc za wszelką cenę utrzymać dach nad głową, — nikłe złudzenie domowego ogniska, — kiedy komorne stało się już nadmiernym ciężarem, podnajęła pokoik, nawet z używalnością kuchenki, niejakiej pani Łozowej, wdowie po kolejarzu — emerytce. Sama mieściła się kątem w tejże kuchence i całe dnie spędzała na poszukiwaniu pracy, niestety, jak dotąd, na próżno. Wszędzie, na każdą posadę zgłaszała się ogromna liczba kandydatek, prawie wszędzie żądano nie tylko referencji, ale i kaucji, której Zosia nie miała, — ponadto wybierano osoby z wyższym wykształceniem handlowym, Zosia zaś skończyła tylko cztery klasy gimnazjum i dwuletnie kursa handlowe. Czas upływał, trzeba było kolejno sprzedawać na bieżące potrzeby nieliczne drobne pamiątki po drogich zmarłych. Zastawić ich obrączki ślubne i korale, otrzymane od chrzestnej matki, wyzbywać się wszystkiego, co miało jakąś wartość. Ale — kupując, płaci się dużo, sprzedając — otrzymuje się mało, zastawiając, — zaledwie trzecią część wartości, więc wkrótce nic już do sprzedaży ani do zastawienia nie było i Zosia przez ostatni tydzień W. Postu żyła tylko chlebem i herbatą.

Nie ulega wątpliwości, że pani Łozowa, jej sublokatorka, aczkolwiek sama nie bogata, dopomogłaby jej chętnie, chociaż dorywczo, ale Zosia dumna i skryta, jak mogła ukrywała swoją biedę, aby jej się nikt nawet nie domyślał. Tymczasem życie wielkiego miasta szło swoim trybem i stolica gotowała się do Świąt Zmartwychwstania Pańskiego.

Święta te miały w owym roku dość późną datę i wiosna wyprzedziła je znacznie. Mówiła o tym młoda zieleń na skwerach i słońce, które siało szczodrze złote swe blaski. W Wielką Sobotę nastrój świąteczny odczuwało się wszędzie, zarówno w szeregach świeżo umytych okien i w malowniczych wystawach sklepowych, jak i w wyglądzie tłumów, które od rana wyległy na ulicę i odwiedzały świątynie Pańskie, wiodąc ożywione dyskusje na temat „Grobów" i spraw świątecznych.

Zosia też nie pozostała w domu, ubogo ubrana, jeszcze w żałobnym weloniku, obchodzi od rana kościoły w dzielnicy staromiejskiej i wszędzie modli się żarliwie, wołając: „Ratuj" do Pana Zastępów. Jest bardzo mizerna, troska zimowych miesięcy i głód ostatnich tygodni wyrzeźbiły delikatne rysy drobnej twarzyczki, a cerze nadały przeźroczystą bladość. Około południa znalazła się w kościele Karmelitów i tu, przy cudnej rzeźbie Sosnowskiego, którą tak kocha, zrobiło jej się słabo, tak, że musiała zaprzestać dalszej wędrówki i pozwolić sobie na odpoczynek. Z szeregu pustych przeważnie ławek, wybrała ostatnią, blisko szeroko otwartych głównych drzwi kościoła i tam się umieściła pewna już, że nikomu w drogę nie wchodzi i miejsca nie zabiera. Czuje się tak zmęczoną, słabą i, niestety, głodną, że skłania głowinę na złożone na pulpicie ręce i siedzi tak chwilę z zamkniętymi oczyma. A wtedy przychodzi dobroczynny półsen i przed otwartymi powiekami zjawiają się i nikną ukochane cienie...

Oto ojciec, który w jej dzieciństwie przyprowadzał tu swoją jedynaczkę i podnosił do góry, aby mogła lepiej się przyjrzeć... Oto mama, która jeszcze rok temu żyła, ale czuła się już bardzo słabą i trudem, prowadzona ostrożnie przez Zosię, mogła tu dojść I wtedy właśnie pokazała Zosi w swojej książce do nabożeństwa te piękne słowa Chrystusa: „O cokolwiek prosić będziecie Ojca w Imię moje, — da wam". Zosia powtarza je teraz nieledwie machinalnie, ale z gorącą wiarą i rozpacznym błaganiem. A wówczas widzi przed zamkniętymi oczami jeszcze jedną, ukochaną niegdyś postać... To Stefan, jej były narzeczony. Bo przecież Zosia miała narzeczonego i bardzo go kochała, — dobrego, miłego chłopca, pomocnika jej ojca i technika jak on, - Stefan niby ją kochał, a przecież uwierzył złym ludziom, którzy pracowali nad tym, aby ich rozdzielić, uwierzył plotkom i brudnym oszczerstwom, wyjechał na posadę na kresy i tam się podobno ożenił. Nie ma jeszcze nawet lat dziesięciu, kiedy w taką samą słoneczną Wielką Sobotę, przy wyjściu z tej samej świątyni, mówił do niej serdecznie: „Zosieńko, nie rozstaniemy się już nigdy, przez całe życie będziesz miała we mnie opiekuna i najlepszego przyjaciela... A dziś sama, opuszczona, bez pracy, bez nadziei na przyszłość — taka słaba i głodna... Z oczu idą łzy gorące, a myśl znowu powtarza modlitwę ojca...

Nagle wzdryga się nerwowo, czując czyjś uporczywy wzrok w siebie wlepiony. Słyszała, w swym półśnie pogrążona, że ktoś usiadł w ławce obok niej, i na razie nie zwróciła na to uwagi. Teraz odruchowo wyprostowuje się i patrzy.

Obok siedzi pan jeszcze dość młody, jakby znajomy i bacznie jej się przygląda. Przez długą chwilę patrząc na siebie w milczeniu. O Boże, wszak to Stefan! To jego oczy, niebieskie w czarnej oprawie i takie dobre, myśli Zosia, niepewna na razie, czy to jej sen się przedłuża, czy też rzeczywistość. A pan pochyla się ku niej i mówi cicho, cichutko: Panno Zofio, to ja, Stefan. Od razu panią poznałem, chociaż pani taka mizerna, ale zawsze śliczna i prawie nic się nie zmieniła. Przyjechałem wczoraj i dziś od rana szukam pani. Już dwa razy byłem u Pani w domu, a teraz chyba Bóg mnie tu skierował... Delikatnie — nieśmiało bierze ją za rękę i jeszcze ciszej mówi: „Wiem, że jestem winien, bardzo winien, ale wybacz mi w obliczu Tego który na nas patrzy. Dopiero w tym tygodniu otrzymałem list od tej ciotki, co to ongi przeszkodziła naszemu związkowi. Jest bardzo chora, nawet nie mogła pisać sama, pisał Kazik, jej syn, to, co mu kazała. Otóż wobec bliskiej śmierci, odwołuje swoje dawne oszczerstwa i donosi, że pani straciła matkę, wkrótce potem pracę, że Pani była i jest zawsze uczciwą, a teraz ma bardzo ciężkie życie. Wie to wszystko od pani Łazowej, bo to jej koleżanka z pensji. Przyjedź, napraw, kończy, bo umrzeć spokojnie nie będę mogła...

Zosia milczy, jest tak zaskoczona i oszołomiona, że wprost myśli zebrać nie może, a wobec szmeru kroków w kościele, słowa Stefana dochodzą do niej słabo, jak z wielkiej dali. On zaś, nie zważając na jej milczenie, mówi dalej, jakby do siebie, zawsze cicho, cichutko, ze względu na świętość miejsca. Pracuje na kresach w wielkiej elektrowni, ma kierownicze stanowisko i dobre warunki, ma nawet osobny domek z ogródkiem na mieszkanie... Jak tylko list otrzymał, zaraz wziął urlop na dwa tygodnie i przyjechał... To chyba wystarczy, ślub może być za indultem.. dodaje, jakby do swoich myśli, a widząc nieme pytanie w dużych, smutnych oczach, objaśnia: „Tak byłem żonaty, ale tylko rok niespełna. Żona wątła, chorowita, umarła zaraz po urodzeniu córeczki. Oto ona... „Przesuwa do Zosi małą kilkoletnią dziewczynkę, która przy nim siedziała i mówi: „Pocałuj Zocha w rączkę tę Panią. Musimy ją oboje bardzo kochać, bo to będzie teraz twoja mamusia, nieprawdaż, Zosieńko?"

Zosia całuje i tuli dziecko, serdecznie spogląda na ojca, a potem z głęboką wdzięcznością kieruje wzrok... w górę, na rzeźbę Sosnowskiego.

M. v. W. Sendlerowa.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA
ułoż. Witold Mataczyński

Nie	bar	a	ni
dli.	dzo	wspi	dzo
się	Ko	sko	byś
bar	spa	wy	waj
so	my	my	nie

Ruchem konika szachowego odczytać treść konikówki.

DOPEŁNIANKA
ul. M. Gal.

W..o..g. ....l.j. w..y.. k.m
u.z..t..k.m C..i.. .a..a.o..e..a.

Za rozwiązania powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dnia 14 kwietnia br.

Rozwiązanie zadań z nr. 13 „Moich Powieści":

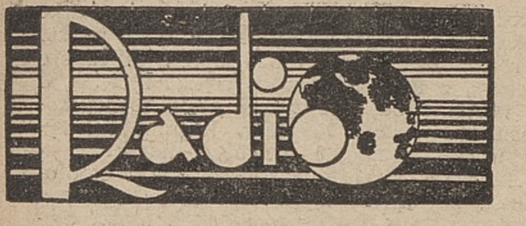
I. Krzyżówka

KOPERNIK
KOPERNIK
O O Y D
POSEJDON
E E U O
RYJ ORLE
N DUR A
IDO LAWA
K NOE A

II. Przekładanka: Kanaan, Kanada, kanalia, kanapa, kanarek
gatunek, ładunek, pakunek, stalunek, ratunek, warunek.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Kamiński Jan — Lublin, Górka Jan — Kraków, Maślak Wiktor — Lwów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp. Kamińskiemu z Lublina i Maślakowi ze Lwowa.



Niedziela, dnia 9 kwietnia 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.15 Orkiestra salonowa pod dyr. T. Kiesewettera (z Łodzi) 10.05 Transmisja nabożeństwa z Katedry w Poznaniu 12.03 Przekładaniec świąteczny — koncert rozrywkowy 14.30 Pisanki lwowskie — wesoła audycja dla dzieci 15.00 Audycja dla wsi 16.30 Recital skrzypcowy St. Mikuszewskiego 17.00 Historia o chwalebnym Zmartwychwstaniu Pańskim — misterium Mikołaja z Wilkowiecka (z Poznania) 17.45 Koncert rozrywkowy 19.15 „Dialog o zmierzchu" — powieść mówiona 19.30 Muzyka francuska z płyt 20.30 Wieczór operowy 21.30 Wyprawa pana Prota — humoreska 22.00 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 10 kwietnia 1939 r.

7.15 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z Krakowa 11.15 „Kujawski dyngus" — audycja muzyczno-literacka 12.03 Poranek symfoniczny z Łodzi 13.15 Muzyka obiadowa z Wilna 14.40 „Z gaikiem zielonym" — audycja dla dzieci 15.10 Audycja dla wsi 16.00 Koncert wielkanocny z Poznania 16.45 „Nowe lato" — słuchowisko obrzędowe 17.20 Sensacje w Trocadero — operetka 19.15 Dialog o zmierzchu — powieść mówiona 19.30 Kapela ludowa F. Dzierżanowskiego 21.15 Muzyka taneczna 22.00 „Na Kleparowie" — wesoła audycja ze Lwowa 22.40 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 11 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 „Jesteś dyplomatą" — pogadanka Starego Doktora 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.30 Pieśni wielkanocne obrządku grecko-katolickiego 17.00 Społeczeństwo genialnych ślepców — odczyt 17.20 Utwory fortepianowe Ludomira Różyckiego 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla robotników 19.00 Koncert rozrywkowy z Poznania 19.15 „Dialog z zmierzchu" — powieść mówiona 21.00 „Nocleg w Apeninach" — opera komiczna 22.40 Współczesny pisarz morza północy — szkic literacki.

Środa, dnia 12 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.00 Audycja dla młodzieży — „Nasz koncert" 15.30 Muzyka obiadowa z Wilna 16.30 Dom i szkoła: O kształceniu zawodowym młodzieży męskiej" — odczyt 16.35 Recital śpiewaczy Heleny Karnickiej 17.15 Koncert kameralny z Katowic 18.00 Audycja dla wsi 18.40 „Dyskutujmy: Czy dążenie do wybicia się jest cechą społecznie dodatnią czy ujemną? 19.00 Koncert rozrywkowy 19.15 „Dialog o zmierzchu" — powieść mówiona 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Pawła Lewieckiego 21.30 „Wśród poetów węgierskich" — audycja ze Lwowa 21.50 Pieśni brazylijskie 22.25 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 13 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Poranek dla szkół powszechnych 11.25 Walce Straussa w wykonaniu chóru i orkiestr symf. 12.03 Audycja południowa 15.00 „Trzeba być psychologiem" — pogadanka dla młodzieży 15.15 Kłopoty i rady: Ciocie z prowincji — dialog 15.30 Muzyka obiadowa ze Lwowa 16.20 „Za chlebem" — odczyt dla młodzieży licealnej 16.40 Robert Schumann: „Karnawał" — wykona H. Sztompka 17.10 „Życie portów": Grytwiken — pogadanka 17.20 Koncert popularny z Wilna 18.00 Audycja dla młodzieży wiejskiej 18.30 Opowieść o Moniuszce 19.20 Dialog o zmierzchu — powieść mówiona 19.35 Koncert rozrywkowy z Katowic 21.00 Peregrynacja dziadowska — audycja satyryczno-obyczajowa 21.45 Folklor różnych narodów: Dania — audycja muzyczno-słowna 22.25 Muzyka taneczna (płyty) 23.05 II koncert dawnej muzyki polskiej.

Piątek, dnia 14 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Nieznani pieśniarze — audycja z płyt 12.03 Audycja południowa 15.00 Zagadki muzyczne — audycja dla młodzieży 15.30 Muzyka obiadowa z Torunia 16.35 Tradycyjne polonezy — audycja słowno-muzyczna 17.20 Miniatury kwartetowe — koncert z Krakowa 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Teatr wyobraźni: „Radziwiłł w gościnie" — J. I. Kraszewskiego 19.15 Polska Kapela Ludowa F. Dzierżanowskiego 21.00 Ostatnia podróż małego Kazia — epizod z opowiadania Jarosława Iwaszkiewicza 21.20 Festival Międzynarodowego T-wa Muzyki Współczesnej (transmisja z Filharmonii Warszawskiej) 22.10 Płyta za płytą..

Sobota, dnia 15 kwietnia 1939 r.

6.30 Audycja poranna 11.00 Audycja dla szkół 11.25 Lekkie duety instrumentalne (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.00 Słuchowisko dla dzieci: Jak Barbarka piekła wielkanocne baby 15.30 Muzyka obiadowa z Katowic 16.35 Recital śpiewaczy Stani Zawadzkiej 17.10 Wspomnienie brazylijskie — felieton 17.28 Koncert solistów z Łodzi 18.00 Audycja dla wsi 18.30 Audycja dla Polaków za granicą 19.15 Koncert rozrywkowy z Łodzi 21.00 „10 lat przebojów" — transmisja z Brukseli 22.00 Muzyka taneczna.



ZNAK ROZPOZNAWCZY

Hrabia Pętelka wybiera się na wielką zabawę. Przed klubem powiada do swego szofera:

— A więc Jan zajedzie po mnie o piątej nad ranem... Jan mnie znajdzie w klubie pod trzecim stolikiem na lewo...

MA RACJĘ

Po nocy Sylwestrowej pan Hieronim lekko zawiany udał się do kawiarni na pół czarnej. Przy płaceniu rachunku kelner zażądał za pół czarnej 80 groszy. Pan Hieronim robi zdumioną minę:

— Dlaczego 80? — pyta. Przecie zawsze kosztowało pół czarnej tylko 60 groszy...

— Tak, ale szanowny pan zapomina, że ostatnio mleko zdrożało...

— A, tak... Ma pan rację...

ZNALAZŁ WYJŚCIE

Panna Leonia czeka z wielką niecierpliwością na swego narzeczonego. Stół odświętnie nakryty na stole kwiaty, owoce. Bo to dzisiaj imieniny panny Leonii...

Wtem otwierają się drzwi i wchodzi narzeczony.

— Co to? — dziwi się dziewczę. — Przychodzisz z próżnymi rękoma?

— Najdroższa! — odpowiada narzeczony, gdybym miał ręce zajęte prezentami, czym bym cię uściskał?

MA RACJĘ

— Panie Kac, jak pan przypuszcza, co nas czeka w 1939 roku?

— Pewien wielki jasnowidz zapowiedział, że wojny nie będzie..

— Że wojny nie będzie, to ja wiem, ale czy będzie pokój?

NIEGRZECZNE PYTANIE

Śpiewaczka: — Ubezpieczyłam swój głos na 50 tysięcy...

Przyjaciółka: — A czy już wypłacili ci premię?

INSPEKCJA MINISTERIALNA

Kiedy w roku 1906 Jerzy Clemenceau został ministrem spraw wewnętrznych postanowił usunąć wszystkich urzędników, którzy spóźniają się do pracy.

W towarzystwie dyrektora swego gabinetu udał się Clemenceau do biur pewnego urzędu. W pierwszym pokoju nie było nikogo. W drugim — pustki. W trzecim — to samo. W czwartym pokoju zastali jednego urzędnika, ale ten smacznie chrapał.

Rozgniewany dyrektor chciał go obudzić, ale Clemenceau wstrzymał go ruchem ręki.

— Cicho! Nie budźcie go, bo gotów sobie pójść.

NAJLEPSZY ARGUMENT

— Tatusiu, wróć do domu!
— A bo co?
— Mama!
— A co powiedziała?
— Idź po ojca.
— Eh, to nic...
— Sprowadź ojca, albo ja sama pójdę po niego.
— Tak powiedziała.
— Ha, trudno, chodźmy do domu!

PERPETUUM MOBILE

— Co to jest perpetuum mobile?

— To jest tak: komisarz Jagoda przyszedł, bo jego poprzednik rozstrzelał tych, których nie trzeba było, a tych których trzeba było, nie rozstrzelał. Jagoda rozstrzelał tych, którzy źle rozstrzeliwali i tych, których trzeba było rozstrzelać. Ale po tym okazało się, że i Jagoda nie rozstrzelał kogo trzeba było. Wtedy przyszedł Jeżow i rozstrzelał i tych kogo trzeba było i tych co źle rozstrzeliwali. Ale Jeżow też coś pokręcił, więc teraz przychodzi Beria i znowu rozstrzeliwuje tych, których Jeżow nie rozstrzelał i tych czekistów, którzy przez pomyłkę kogo innego rozstrzelali... A po Berii przyjdzie kto inny i tak aż do skutku. To właśnie jest perpetuum mobile.

POEZJA I PROZA

— Czyż to wino nie jest jak poezja?

— Słusznie! Nalej mi jeszcze jedną zwrotkę.

DOBRY MĄŻ

Żona: — Co dasz mi na imieniny?

Mąż: — Dam ci dobrą radę, żebyś nie robiła nigdy niepotrzebnych wydatków.

W PRACOWNI

Klient: — Ale, proszę pana, chciałbym bardzo ładnie wyglądać na tym portrecie.

Malarz: — Doskonale. Będzie pan tak piękny, że pana nikt nie pozna.

PODZIAŁ

— Jaka jest różnica między 1, 2 i 3 klasą w pociągach?

— W trzeciej konduktor wymyśla pasażerom, w pierwszej pasażerowie wymyślają konduktorowi, a w drugiej pasażerowie wymyślają sobie nawzajem.

TRANSPORT

— Słyszeliście towarzyszu, Jeżow został przeniesiony do komisariatu transportu.

— Aha, to jego teraz przetransportują wprost na łono Abrahama.

MITOLOGIA

Profesor pyta ucznia: — Jak nazywa się bóg podziemi?

— Al Capone — odpowiada uczeń bez namysłu.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3.00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp. wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207 393. — Telefon 32.

Rękopisów niezamów. nie zwraca się.

Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN.

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotych. 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 25 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 25 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględniane o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne á 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów á 34 mm

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Krzycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Krzycki w Żninie.

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.